◆ W NUMERZE: WYNIKI KONKURSU »MIASTECZKO POLSKIE 1947 R.« ◇

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład 40.000
Redakcja Daszyńskiego 1[illegible]
Administracja Daszyńskiego 1[illegible]
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 20 czerwca 1948 r. | Nr 25 (186)

FEDERICO GARCIA LORCA

przełożył WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

TREN NA ŚMIERĆ IGNACIA SANCHEZ MEJIAS*)

I

CIOS BYKA I ŚMIERĆ

Zegar wydzwonił piątą po południu.
Była dokładnie piąta po południu.
Chłopiec przyniósł czyste prześcieradło
O piątej po południu.
I kosz ze świeżym wapnem
O piątej po południu.
A nad wszystkim tym — śmierć, tylko śmierć,
O piątej po południu.
Wzbiła się wata, przez wiatr podrzucona
O piątej po południu.
Szkło i nikiel zasiała kwaśność
O piątej po południu.
Gołębica ruszyła w bój z leopardem
O piątej po południu.
I biodro było przeszyte rogiem
O piątej po południu.
I głośno zahuczał wielki dzwon
O piątej po południu.
Dzwonienie chloroformu i dymnej krwi
O piątej po południu.
W żałobie ulic niezliczone tłumy
O piątej po południu
A serce byka tak wściekle waliło
O piątej po południu,
Kiedy zamarzły krople potu
O piątej po południu.
I stała się arena bardziej żółta niż jodyna
O piątej po południu.
To śmierć złożyła do rany swe zalążki
O piątej po południu.
Zegar wydzwonił piątą po południu,
Była dokładnie piąta po południu.

Trumna zamiast łóżka
O piątej po południu.
Mogiłą dźwięczały flety
O piątej po południu.
Rykiem byka wypełnił się jego mózg
O piątej po południu.
Agonia zakwitła tęczą
O piątej po południu.
Gangrena utkała żałobny jedwab
O piątej po południu.
Trąby irysów, całe w zieleni
O piątej po południu
Od mas ludowych brzęczały szyby
O piątej po południu.
O piątej po południu
O godzina piąta po południu!
Było posępnie o piątej po południu!

II

PRZELANA KREW

Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!
Niech się księżyc skrwawi w górze!
O, zasypcie krwi kałuże,
Gdzie na piasku padł Ignacio!
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!
Chociaż mkną obłoczne konie,
Chociaż księżyc drzwi otwiera
Mrocznym światłem lśni arena
Z liśćmi wina na barierach.
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!
Niech wspomnienie się dopali,
Niech dziecinna biel jaśminów
Wieść o śmierci niesie dalej!
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!

Krwi kałużę, co arenę
Zabarwiła koralowa,
Smutnym swym jęzorem zliże
Prastarego świata krowa.

*) Mejias — słynny toreador hiszpański

Pablo Picasso — rysunek

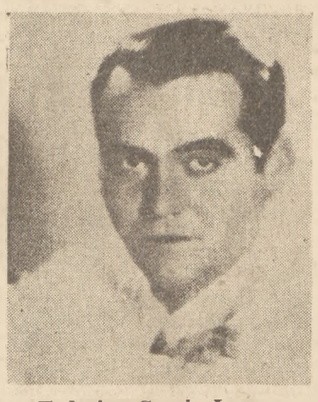

Federico Garcia Lorca

Dzikie byki z pól Hisando. —
Na wpół śmierć i na wpół kamień —
Rykną z bólu, że im trzeba
Walić w ziemię rachami.
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!
Szedł po stopniach wzwyż Ignacio
Śmierć dźwigało jego ciało.
Szukał świtu, lecz na próżno.
Bo tej nocy nie świtało.
Szukał trwałej swej postaci
I zdrowego szukał ciała,
Ale znalazł swoje widmo,
Które lepka krew zalała.
Nie chcę patrzeć na te rany,
Na tę krew, co śmiercią płonie
Która tryska, jak z fontanny,
Purpurowym, groźnym blaskiem
Na zielony bluszcz, na dłonie
Tłumów pod błękitem płaskim.
Któż zawołał, żebym spojrzał?
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!

Nie drgnął, kiedy ujrzał rogi,
Ócz nie zamknął i nie krzyknął,
Tylko trwoga macierzyńska
W jego twarz spojrzała dziko.
I doleciał zew tajemny
Z wiatrem nieskończonych pastwisk
Ku obłocznym bykom nieba,
Ku pastuchom mgieł i blasków!
Żaden grand w Sewilli starej
Nie zasłynął tak z odwagi,
Nikt takiego serca nie miał,
Ani tak zuchwałej szpady!
Rzeką lwią płynęła w młodym
Cudotwórcza jakaś siła,
Co jak posąg pełen chwały
Jego postać zmarmurzyła.
Nardem wdzięku i dowcipu
Śmiech Ignacia tchnął niezmiennie,
I powietrze Andaluzji
Ubierało go w płomienie.
Wielki z niego był torrero.
Jakże kochał góry siwe!
Jakże konia bódł ostrogą!
Jakże był dla kłosów tkliwy.
Jakże dobry był dla rosy!
Jakże piękny na arenie!
I przed śmierci banderillą
Nie ukląkł uniżenie!

Zasnął oto snem bezkresnym.
Mech zielony i źdźbła trawy
Wpiły się, jak giętkie palce,
W jego czaszki kwiatek krwawy.
Po zieleni wzgórz i równin
Krew Ignacia płynie pieśnią,
Po schylonych rogach płynie,
Chociaż nic już go nie wskrzesi.
Tysiącami racic wali.
Wszystko gubi się w jej wirze.
Krwi kałuża pragnie stać się
Gwiezdną mgłą w Guadalquivirze.
O, wśród białych ścian hiszpańskich
Czarne byki smutku ryczą!
A rozprute jego żyły
Piękną pieśnią brzmią słowiczą.
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!
Nie ma takich pod błękitem
Jaskółeczek, aby mogły
Wypić wszystkie krople krwi tej,
Nie ma szronu, nie ma pieśni,
Ani takiej lilii dużej,
Żeby mogła swoim srebrem
Okryć krew tę — gorzką różę.
Nie chcę, nie chcę na nią patrzeć!

III

OBECNE CIAŁO

Kamień to czoło, gdzie jęczą senne widzenia
Bez wód wężowych, bez chłodnych, chmurnych cyprysów.
Kamień to grzbiet dźwigający czasu odwieczne brzemię
I drzewa łez i bielące się wstęgi drogi mlecznej.
Szare ulewy biegną bardzo szybko ku rzekom
Wznosząc tkliwie do góry dłonie swoje zranione,
Żeby nie złapał ich kamień siwy, przydrożny,
Nie zdruzgotał im kości, krwi ich nie wypił.
Kamień chciwie zbiera nasiona i kropelki,
Jaskółek lotne szkielety i szkielety wieńce,
Nie obdarza nas pieśnią, ni ogniem, ni kryształem,
Jedynie arenami, szarymi arenami.
Szlachetny nasz Ignacio leży na kamieniu.
Umarł. Co się z nim stało? Spójrzcie na jego twarz:
Rzekłbyś — śmierć go natarła blado-żółtą siarką
Głowa jego jest ciemna, niczym łeb Minotaura.
Umarł. W rozwarte usta krople deszczu weszły,
Z płuc skurczonych powietrze wybiegło jak szalone,
A miłość jego żywiąca się śnieżnymi łzami
Grzeje się w górskim błękicie pastwisk dalekich.
O czym tam szepczą? Tu leżą prochy i milczenie,
Przed nami leży tylko ciało tchnące zgnilizną.
Dawniej w tej kształtnej formie śpiewały słowiki,
A dzisiaj jest okryta sinością dziur bezdennych.
Któż to pomarszczył całun? Kłamią słowa i gesty,
W kącie tu nikt nie płacze, ani nie śpiewa pieśni,
Nie bodzie konia ostrogą, ani nie ściga żmii.
Pragnę ujrzeć oczami szeroko rozwartymi
To ciało, ale żywe, bez martwego spokoju.
Pragnę zobaczyć ludzi o głosach jak trąby,
Poskramiających uzdą konie i wartkie rzeki,
Pragnę zobaczyć ludzi o dzwoniącym kośćcu
Ze śpiewnymi ustami, gdzie słońce lśni krzemieniem.
Pragnę ich tu zobaczyć! Przed tym kamieniem szarym.
Chcę, żeby wszyscy ci ludzie wskazali wyjście
Ignacio — palladynowi, związanemu przez śmierć.
Niechże ci ludzie pokażą nam tak szerokie łkanie,
Żeby we mgłach płynęło cichą, świetlistą rzeką.
Żeby Ignacio płynął po rzece tej chłodnym ciałem
Bez gniewnie-podwójnego sapania wściekłych byków.
Żeby na krągłej arenie ta rzeka się gubiła,
Na księżycu, co jagnię jasno — łagodne udaje.
Żeby ta rzeka znikła w nocy rybiego milczenia,
Żeby zgubiła się w białym gaju dymów stwardniałych.
Nie, jego martwej twarzy chustami nie okrywajcie,
Iżby nie przywykł do śmierci ukrytej w nim samym.
Śpij, Ignacio, nie słuchaj ryku gorącego.
Pędź, leć, w pokoju spocznij. Tak samo umrze i morze.

IV

NIEOBECNA DUSZA

Tyś obcy bykom, figowcom i koniom,
I mrówkom, co krzątają się przed progiem.
Nie zna cię wieczór, ani dziecko małe —
Na wiekiś odszedł, umarłeś na wieki.

Obcyś grzbietowi siwego kamienia,
Czarnym atłasom, w których się rozkładasz,
Obcyś swym własnym niemym wspominaniom —
Na wiekiś odszedł, umarłeś na wieki.

Gdy przyjdzie do nas jesień z mgieł gronami,
Ze ślimakami i górami w śniegu,
Nikt jasnym wzrokiem w oczy twe nie spojrzy —
Na wiekiś odszedł, umarłeś na wieki.

O tak, odszedłeś, na wieki umarłeś,
Jak zmarli,, którzy porzucili ziemię,
Jak zmarli, których nikt już nie pamięta,
Co leżą w gnoju ze zdechłymi psami.

Choć obcyś wszystkim, ja wspominam ciebie,
Twą męską postać zachowam w pamięci,
Głód śmierci i dojrzałość doświadczenia,
Cierpki smak ust twych i posmak goryczy
W twoich porywów wesołej śmiałości.

Czy kiedykolwiek urodzi się jeszcze
Andaluzyjczyk z tak burzliwym losem?
O twej urodzie śpiewam zawodzeniem
I wiatr wśród drzew oliwnych smutno szumi.

Pablo Picasso — rysunek

1166 K 1948.
AKADEMIA LEKARSKA W GDAŃSKU
BIBLIOTEKA

Sprawy, książki i zaczepki, czyli...

Sezon wczasów jest już w pełni. Ale najwcześniej tego roku rozpoczęła wczasy Szkoła krytyków i najwcześniej też, bo już w połowie czerwca, je kończy. Gdzie byliśmy, czy w mieście nazwami nękanym, czy w innych tajemniczych zakątkach ojczyzny, nie powiem — dość że byliśmy. Czyli w „Odrodzeniu" przez kilka tygodni nas nie było.

Te majowe wczasy miały jednak coś z rekolekcji, a wynikiem tych rekolekcji chciałbym się podzielić z wszystkimi wiernymi i niewiernymi czytelnikami byłej Szkoły krytyków. (Niewierni — znaczy w tym miejscu mahometanie, karaimi i katechumeni à la Kisiel). Dlaczego krzyczycie nad tymi słowami: byłej Szkoły krytyków? Właśnie o tym będzie mowa i to jest ów zapowiedziany wynik majowych rozmyślań.

By go wyjaśnić należycie, trzeba się najpierw cofnąć wstecz. „Odrodzenie" gościło jeszcze w stołecznym, królewskim mieście Krakowie, a za plecami redaktora w półokrągłej defiladzie szyb rozciągała się bajeczna panorama od Sowińca po wieżę Mariacką, kiedy przed plecami tegoż redaktora zasiadł kjw (chociaż jest skrótem, siada normalnie) i zaproponował mu stałą rubrykę, od razu wówczas ochrzczoną: Szkoła krytyków. Zaczęło się to we wrześniu 1946 r., trwało do maja 1948.

Po tak długim czasie mogę mówić spokojnie o straconych złudzeniach, które są powodem przejścia Szkoły krytyków w nicość. Gdybym był pyszny i zuchwały napisałbym — przejścia do historii literatury. Ale to wszystko jedno. Otóż nazwa Szkoła krytyków położona w tytule rubryki nie miała być w mojej intencji jakimś efektownym kruczkiem. Już wówczas, przed dwoma laty, narzekaliśmy nie mniej głośno jak obecnie na brak krytyków, a ponieważ piszący należy do osób, które narzekają niechętnie, a natomiast chętnie łatają każdą napotkaną dziurę — pomyślałem, czyby tego rodzaju rubryka nie zdołała wywabić utajonych talentów krytycznych.

Naprawdę tak pomyślałem! Chodziło o wędkę, na której byłaby pożywna i co tydzień zmieniana dżdżownica, a brakowało by bolesnego dla narybku haczyka. Adresatem Szkoły krytyków miał być ów idealny, nieznany młodzieniec z prowincji, który szuka dróg do literatury, wskazówek, przewodnictwa, a Szkoła miała być tylko wędką dla kontaktów listownych, osobistych, dla prawdziwej pracy odbywającej się poza jej cotygodniową rameczką.

Powiecie, że byłem naiwny? Nie przestałem nim być nadal, chociaż wiem od dawna, że ten przewidywany adres okazał się błędny. I Szkoła krytyków, by istnieć i istnienie swoje uzasadnić, już dawno przestała być taką, jak w swoim pierwotnym adresie, Szkołą krytyków. Na głowie literackiego wyjadacza pozostała tylko szkolna czapeczka. Z czyjej winy? Nie będę nad samym sobą odprawiał sądów. Przypomnę tylko opowiedziane mi niedawno przez redaktora pewnego miesięcznika literackiego doświadczenie. Spróbował on, wzorem wielu pism zagranicznych, wejść w bezpośredni kontakt ze swymi prenumeratorami. Rozpisał setkę listów pytając o to i owo z ich sądów na temat redagowanego przez siebie pisma, prosząc o życzenia etc., zasiadł za biurkiem i miesiąc czekał. Zgadnijcie, ilu po miesiącu doczekał się odpowiedzi? Jednej — dosłownie jednej. Wtedy przeczytał drukowany przed dwoma miesiącami w „Nowinach Literackich" artykuł W. Natansona o obojętności kulturalnej, rozpisał drugą setkę listów, ym razem do innych prenumeratorów, i znów czeka. Pokój z nim, chociaż trochę pocieszą mnie w moich pogrzebanych złudzeniach.

Więc Szkoła krytyków już dawno być nią przestała i nie wydała pożądanego przez jej założyciela potomstwa. Całkiem okazała się bezpłodna? Do tego potomstwa się nie przyznaję, nie poczuwam, ale coś mi się wydaje, że gdzieś — coś — chyba — kto wie... Bo będąc na wczasach i mając więcej czasu na lekturę zauważyłem, że rozmnożyły się ostatnio w tygodnikach literackich stałe rubryki do niniejszej podobne. Wyłączam korespondencję Eleutera z Felicją. Jest hors concours i pozostaje mi tylko zazdrościć, że nie mam przy boku podobnej Felicji, która by ze mnie zrobiła takiego Eleutera.

Ale inni towarzysze cotygodniowego pióra? W „Nowinach Literackich" Rondo omawia „Sprawy dnia", a Jack prowadzi „Kronikę literacką". Ponieważ St. R. Dobrowolski podpisuje się pod kroniką tygodniową jak sam Antoni Słonimski, odsyłam go Słonimskiemu, nie uważam za wspólnika. W „Tygodniku Powszechnym" urzadza stałe „Spotkania literackie" Goa. Od kogo by nie zaczął, kończy na archeologii i okolicach kopalnych cmentarzysk. W „Dziś i Jutro" spogląda „Z ubocza" dobrze oczytany Krzysztof R. Gawor. A numery „Wsi", w których nie pojawi się Genowefa Szturchaniec, są dla podpisanego bez soli. Zwłaszcza personalnej. Kto zacz? Przeczytuć Gawor, przeczytać Szturchaniec, od razu się czuje wytrawnego wygę literackiego.

Jesteśmy zatem w gromadzie, gdzie odrobinę poczuwam się do ojcostwa, i dlatego mimo ciężaru straconych złudzeń nie wierzę w całkowitą bezpłodność dwóch minionych lat. A ty, młodzieńcze z Jarosławia, który właśnie w dzień przejścia Szkoły krytyków w inne wcielenie przysyłasz wzruszający list pytając, co czynić, by zostać krytykiem — nie lękaj się milczenia w odpowiedzi. Pomiędzy sprawami, książkami i zaczepkami twoja sprawa jest nadal pierwsza. I wasza sprawa, podobni młodzieńcy z wszystkich miast i miasteczek pomijanych, zapomnianych.

Sprawy, książki i zaczepki, czyli... Szkoły krytyków seria nowa. Czy pamiętacie filmy z dumasowskiego okresu filmu? Np. „Indyjski grobowiec"? W tym sensie seria nowa. Zaczęła się w czerwcu 1948 — nie, wszak razem ze Szkołą krytyków zwinęliśmy wydział proroków. Tylko w miarę potrzeby będzie on powoływany do funkcjonowania.

A psik!!! Kichnąłem. Stary obyczaj grzecznościowy, z okresu kiedy savoir vivre był pod znakiem tabaki, każe w takiej okoliczności powiedzieć na zdrowie. Kichającemu i nowej serii.

O co prosi ciągle ten sam.

kjw

W ODPOWIEDZI

Wszystkim obrońcom kawiarnianych klasyków, obrońcom mętniactwa ideowego i językowego, cbolałym troską o swój własny poziom, poziom kultury polskiej, czasopiśmiennictwa literackiego itd. itd. — do sztambucha ten wyjątek z pracy 19-letniej Heleny Pawłowskiej, wieś Kadzidłowa, pow. łęczycki, województwo łódzkie, nadesłanej na konkurs „Opis mojej wsi"—jako skromny wynik ich wielkiej pracy kulturalnej i wychowawczej przesyła

Jerzy Borejsza

P. S. Autentyk do obejrzenia w redakcji.

* * *

Są u nas ludzie, którzy interesują uniwersalizmem. Inni czytają gazety, książki. Każdy ma inny despotyzm do pracy. Człowiek, który czyta książki, gazety, jest naprawdę konsekwentny. Człowiek, który nie zna książki, gazety, żyjący bez presji doktryny jest tylko bajką dziecięcą. Zdaje mi się, że człowiek ten czuje się jak ptak w klatce. Czem ci ludzie się zajmują, np. męszczyźni, gdy inny pracuje logicznie, dla społeczeństwa. Ten uznaje go za oszusta. Dlaczego? Dla tego, że nic nie rozumie.

Są u nas tacy ludzie, gdy gadano plotki babskie morały, siedziałby całą noc. Gdy wziąść książkę lub gazetę w tej chwili ucieka do domu. Musimy dążyć do tego byśmy wszyscy dominowali jedną socjologią. Także i kobiety wiejskie są wyeliminowane z socjologii. Miast gdy zejdą się sąsiadki poczytać gazetę, wszystkie słuchać jednej rady to gazety z której się można wszystkiego dowiedzieć. Każda posługuje się swą demagogią z czego powstaje najczęściej skandal. Także młodzież, która nie zajmuje się nauką, czyta tylko dla swej dogody, jak np. książki romantyczne oraz zchodzą się wieczorami na dewastacje własnego rozumu. Są i tacy kturym się źle wiedzie i narzekają na biedę. Dlaczego? Dlatego że posługują się własną teorią, dla tego, że nie chce się pracować".

Helena Pawłowska

W NASTĘPNYM NUMERZE
»ODRODZENIA«
MARIA DĄBROWSKA
W PIĘKNY, LETNI PORANEK

CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOSCI

STEFAN ZEROMSKI
WALKA Z SZATANEM
Cz. I
NAWRACANIE JUDASZA
Powieść
Str 310
zł 360

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
STAROSTA WARSZAWSKI
Obrazy historyczne z XVIII wieku
Wstęp i objaśnienia Hahn W.
3 tomy
zł 500

1798-1948
W 150 ROCZNICĘ URODZIN POETY
NARODOWE WYDANIE DZIEŁ
ADAMA MICKIEWICZA
pod wysokim protektoratem Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dn 5. V. 1945 r., na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«
ogłasza
PRZEDPŁATĘ
na Narodowe Wydanie Dzieł Adama Mickiewicza
obejmujące w 15-tu tomach, w 4-ch seriach całość spuścizny duchowej Poety.
Tekst krytyczny opracowany na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki staraniem Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem Leona Płoszewskiego. Wydanie na papierze bezdrzewnym, w okładce półsztywnej.
WARUNKI PRZEDPŁATY SERII PIERWSZEJ
obejmującej całość twórczości poetyckiej Adama Mickiewicza
w 4-ch tomach, o łącznej objętości 1700 stron, w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy

1. Wszystkie 4 tomy serii pierwszej ukażą się jednocześnie w dniu 15 listopada b.r. i będą wysyłane zamawiającym w kolejności zgłoszeń.
2. Cena czterech tomów stanowiących serię pierwszą wynosi w przedpłacie łącznie **800 zł,** płatnych jednocześnie z podpisaniem deklaracji lub też w 4 ratach po 200 zł — w miesiącach: czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu, albo w dwóch ratach po 400 zł — płatnych w miesiącach: czerwcu i wrześniu — na konto P.K.O. I — 7474. Cena w sprzedaży księgarskiej będzie dwukrotnie wyższa.
3. Zamawiający wypełnia deklarację, w której zobowiązuje się do uiszczania całej należności w terminach przewidzianych i przez siebie wybranych i przesyła ją pod adresem:
„CZYTELNIK", INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA, ul. DASZYŃSKIEGO 14.
Deklarację można otrzymać we wszystkich księgarniach
4. Zgłoszenie przedpłaty na serię pierwszą nie pociąga za sobą obowiązku zamawiania dalszych serii. Natomiast zamawiającym serię pierwszą będą przysługiwały przywileje przy seriach następnych.

Dokładne warunki i terminy ukazywania się serii dalszych będą podane w osobnych ogłoszeniach i prospektach.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

SZCZECIN, PROFIL MIASTA

Wojewoda szczeciński — Borkowicz

Co to jest, że zawsze kochamy najbardziej to co leży na naszych najdalszych, jak to komornicy nazywają — rubieżach? Szczecin jest najcudowniejszym, najbardziej wyrzuconym w przyszłość miastem polskim. Są miasta, kraje całe, które żyją swoją lepszą czy świetniejszą przeszłością, które jeszcze uginają się — czemu się dziwić? — pod ciężarem tylu strasznych lat, są miasta, które odgrzebują spod gruzów siedmiu lat wojny i siedmiu stuleci niemczyzny swe piastowskie dalekie szczątki. Kraków, Lublin, Białostoczyzna, Wrocław. Są części Polski, które dopiero stopniowo wtapiają się w polską całość, jak cudne pojezierze mazurskie, jak Śląsk, który jest węglem i gdzie tętno dziejowe mierzy się ilością dobywanego węgla, węgla, to jest 38 milionów ton w roku 1938 a 58 milionów ton w naszym roku 48. I naraz jest Szczecin. Mówimy zwykle jednym tchem „Szczecin i Wrocław", i jest to wielka pomyłka. Krzywdząca dla obu. Każde z nich miało i ma swoją osobną fizjonomię i tylko gruzy, w 1945, były sobie podobne. Po latach trzech — (a były to bardzo płodne, ważkie owe trzy lata: 1946, 1947, 1948) odmienność oblicz dwóch miast nad Odrą jeszcze się pogłębiła. Wrocław — to miasto kultury, historii, kontynentu. Nie na darmo ulokowały się tu wyższe uczelnie Lwowa, przeniosło Ossolineum, powstała literacka „Odra", osiedli profesorzy, studenci, pisarze, moc lwowskiej inteligencji. Oczywiście Śląsk jest węglem Śląsk — to huta i kopalnie, ale te huty to raczej Wałbrzych niż Wrocław, te kopalnie to raczej Katowice. Wrocław w naszych oczach wyrasta nieco na to, czym był temu parę stuleci, czym byłby gdyby... nie tych parę stuleci — na brata Krakowa, kuzyna Lwowa. Oczywiście, nieco inny to brat. Po Krakowie odziedziczył tradycję, patynę, to, co przetrwało tu i Niemców i oblężenie ostatnie. Po Lwowie — ludzi, tempo, humor, gwar ulicy, żywość. Wrocław — to te kościoły pełne piastowskich orłów i nagrobków, opłukiwane dziś mową śpiewną z Buczacza Persenkówki i Trembowli. Jakże odmienny jest Szczecin!

Tak, prawda, są stare kościoły naszym krewniacze, śpią gdzieś snem twardym Mszczuje i Barnimy, ale w Szczecinie ta przeszłość jest dalsza, ciaglistsza, odmienniejsza, nie tak jak wrocławska bliźniacza. Tak, prawda, są tu ludzie z Wilna jak tam ze Lwowa, choć i tu ludzi ze Lwowa jest wiele. Tak, i tu są uczelnie pisma, ambicje, a ostatnio także pisarze. Ale wszystko to nie stanowi o Szczecinie. Szczecin nie zakotwicza się o Polskę historią, nie zakotwicza kulturą (choć to wszystko może i było i pewno przyjdzie). Szczecin wrasta w Polskę geografią i wkorzenia się w Polskę ekonomią. Szczecin sprzęga z Polską nie tradycja, ale plan trzyletni. Innymi słowy: ten ogromny koszt i wysiłek, jaki od trzech lat rzucono na najdalszy, najbardziej zachodni, najbardziej zagrożony, już za Odrę przerzucony pokładem w świat przyczółek szczeciński.

W 1945 r., na jesieni, gdy tu byłem po raz pierwszy, miasto było zdewastowane, upadłe. Port był niemy, morze usiane wrakami, województwo w Koszalinie. Ludzi wyjeżdżało więcej, niż przybywało. Przyszły trzy lata i inwestycje. Pieniądze, których brakło gdzie indziej na mieszkania, na odbudowę Białegostoku, spalonego Jasła, zniszczonej Sanoczyzny, zatopionych Żuław, setek wypalonych Markuszewów, Łomż, przyczółków, pchano na ten skrawek zaodrzański. Tak, po 1922 roku, poczęliśmy budować Gdynię. tak, po 1933 zaczęliśmy tworzyć Stalową Wolę i COP. Odmawiając sobie gdzie indziej, dając właśnie tu. I gdyby dziś szukać dla Szczecina paranteli w Polsce, to parantelą, krewniakami nie jest mu tak jak on naodrzański Wrocław czy jak on pomorski tradycjami Toruń. Starszymi kuzynami dzisiejszego Szczecina, to przedwojenna Gdynia, też przedwojenna Stalowa Wola,

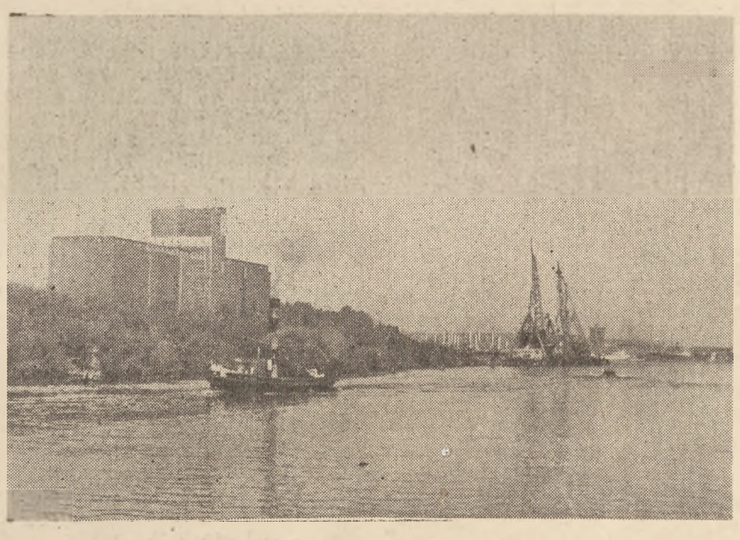

Elewator zbożowy w Szczecinie

Starachowice i inne miasta COP-u. To, co było wtedy—o ile w skromniejszej niż dziś skali—Polską A 1, tym w Polsce — w co inwestujemy najwięcej, gdzie najwięcej i najspieszniej budujemy. w co najwięcej wkładamy pieniędzy, pracy uwagi, wysiłków, starań, rachuby, nadziei. Szczecin dzisiejszy—to taka Gdynia i COP razem wzięte.

I właściwie było to do przewidzenia, do obliczenia w okresie, kiedy bardziej niż kiedykolwiek geografia przełamuje historię, ekonomia tradycję, racjonalizm sentyment, celowość odwieczne nawyki. Szczecin mógł sobie nawet należeć do Polski jeno dawno, krótko i luźno (co oczywiście nie oznacza wcale, by był zatem niemiecki). Mógł przez swe położenie być pozornie najbardziej zagrożony. Pozornie najbardziej. W epoce broni atomowej i bakteriologicznej jest mocno wątpliwe czy Szczecin jest w gorszej sytuacji niż Moskwa lub Nowy Jork. Jest zapewne w lepszej niż np. Londyn. Wszystko to nie grało żadnej istotniejszej roli. Cóż ją grało? Dlaczego odbudowa Szczecina musiała ruszyć z miejsca? Dlaczego przybiera teraz takie tempo a przybierze jeszcze potężniejsze? Odpowiedź na to jest zarazem wielokrotna i prosta. Jeśli Polska miała się odbudować — musiała rozwijać Szczecin, bo przez Szczecin tanią odrzańską drogą musiał pójść główny przedmiot naszego wywozu — węgiel, to, za co otrzymujemy zzagranicy maszyny, surowce, waluty. Jeśli Polska ma utrzymać swój zakreślony jej ustrój, to musi ulec przesunięciom socjalnym, musi z kraju o przewadze chłopskiej stać się krajem o przewadze — liczebnej — robotniczej. przemysłowej, fabrycznej. Na tej drodze także leżał Szczecin. Aby utrzymać nasze ziemie zachodnie trzeba je zagospodarować — znowu Szczecin. Aby dokonać największego zadania najbliższych lat, czyli unii polsko-czechosłowackiej — jeszcze raz na drodze leży Szczecin. Szczecin, Szczecin. Szczecin jest punktem kluczowym tego czego nie ma ale co naprawdę będzie Nową Polską. Tam w kanałach portowych, na nadbrzeżach, przy minach, których za rok nie będzie tuż wokół wsi, która jeszcze powoli się dźwiga — jest Polska A 1 naszego czasu.

Zresztą podobieństwa: Gdynia — wtedy, Szczecin — dzisiaj na tym się mniej więcej i kończą. Różnice są nie mniej wielkie. Powstanie w 1923 i świetny rozwój Gdyni w następnym piętnastoleciu były produktem polityki w nieporównanie większym stopniu niż gospodarki. Nikt, rzecz jasna, nie kwestionuje zasług Eugeniusza Kwiatkowskiego, ale gdyby chciano kiedy uczcić twórców Gdyni, należało by wymienić senat W. M. Gdańska. Nacjonalistyczny i zaślepiony swymi szykanami z lat 1920—1923 wywołał w Polsce ówczesnej myśl o własnym czysto polskim już porcie. Ekonomicznie Gdynia była absurdem. Musieliśmy, pozbawieni kapitału, kopać sztuczne baseny pogłębiać dno morskie, budować wszystko od początku, gdy pod bokiem był gotowy port połączony tanią drogą wodną z głębią kraju. Gdyby ekonomia rządziła życiem narodów!... Oczywiście nie było by Gdyni, nie mówiąc już o wielu innych rzeczach. Portem Polski Dwudziestolecia byłby Gdańsk, usadowiony u ujścia Wisły, wyposażony w gotowe urządzenia, posiadający portową hanzeatycką tradycję. Innymi słowy: Gdynia była tworem sztucznym. Gdańsk naturalnym. Otóż dziś Szczecin jest tworem naturalnym w znacznie wyższym stopniu, niż był nim, mógł być, czy jest teraz jeszcze Gdańsk. Dlaczego? Dlatego że Odra w przeciwieństwie do Wisły jest uregulowana i spławna, bo ta Odra jest najkrótszą drogą polskiego węgla na północ, szwedzkiej rudy na Śląsk, bo ta Odra jest na domiar szlakiem Czechosłowacja — Bałtyk. Już to Szczecin jest naturalnym portem Czechosłowacji. Ale i na tym nie koniec. Szczecin leży o bodaj 400 km bardziej na zachód niż Gdynia — Gdańsk. Bliżej stąd nawet do dalekomorskich połowów rybackich — a ryba morska już dziś wtargnęła w nasze jadłospisy i ulokuje się w nich jeszcze mocniej (powódź zmian nawet naszej kuchni nie zostawi w spokoju!).

Oto były warunki obiektywne, które sprawiły, że na Szczecin poszły wkłady, inwestycje, budowy, pieniądze. Dziś tempo rozbudowy Szczecina jest najmocniejsze w Polsce.

Podczas piatiletek puls Rosji bił najsilniej przy tamach Dnieprostroju, w piecach Magnitogorska. Przy rozbudowie nowoczesnej Ameryki najwięcej sił poszło na obiecujące wybrzeże Kalifornii. Tak stało się i tu. Z początku ogólne trudności i szczególne tutejsze hamowały go jeszcze. Niepewna międzynarodowa sytuacja polityczna robiła swoje. Czy dziś jest pewniejsza? Może tak, może nie; jak kto woli; ale dziś ludzie się z tym otrzaskali. Budują. Na Zachodzie raz po raz wybuchają kłótnie. To Palestyna, to wybory włoskie, to terror grecki, to strajki francuskie, albo znowuż ta bogata Afryka południowa, która naraz staje się republikańska i wyprzęga się samowolnie z brytyjskiego rydwanu. A tymczasem? Tymczasem Szczecin się buduje, buduje, buduje... Oto czwarta już Polska wiosna w Szczecinie. Piękne aleje napłynęły zielenią, Odra spływa barkami, do portu zawijają obce statki z zamorskim towarem. Pełno wózków dziecinnych. W domach odrestaurowanych rodzą się różowe. zdrowe, wolne dzieci. Dla nich kiedyś to, że się urodziły w Szczecinie będzie takie naturalne! Miesięcznie przybywa tu teraz 3.000 mieszkańców: w tym rodzi się 500. Na 140.000 to dobrze.

Nawet plotka pracuje na rzecz Szczecina. Plotka jest różnoraka Oto jedna: „Nie, nie będzie wojny ale w rokowaniach pokojowych Anglosasi zażądają umiędzynarodowienia Szczecina". Taki Triest. Szczecin — Wolnym Miastem. Znamienne, że kolporterzy tej plotki uśmiechają się do niej, nie mają nic, ale to nic przeciwko temu, żeby stać się naraz obywatelami owego Wolnego Miasta. Byle wolne opanowane przez nich pozostawiono im nadal; tego świństwa (by im odbierać) Amerykanie nigdy by nie zrobili! Szkoda by było także Borkowicza; to wojewoda z fajerem; no ale może i tu coś by się dało zrobić? Oto jedne marzenia. Inne, nowsze, podawane są w mniej różowej przyprawie Szczecin ma zostać... czeski. Takie usta Pragi zawieszone na cieniuśkiej, długachnej szyi. — Odrze Szczecin będzie czesko-niemiecko-polski. To jest „mniej rozkoszna" perspektywa, ale skądinąd wiadomo przecież, że Czesi są pełni miłości dla inicjatywy prywatnej. Kto wie? Może i Domy Towarowe skasują! Tak, warto tu siedzieć, by się doczekać tej perspektywy. W 1932 wyszła w ZSRR książka Ilfa i Pietrowa „Złotoj tielenok". M. i. opisywała, jak kawiarniani statyści w Czornomorsku (Odessie) nie tracili nadziei, iż port ten zostanie niebawem ogłoszony przez „Ententę" wolnym miastem.

Niemniej w owej międzynarodowości Szczecina jest coś, naprawdę coś. Oczywiście każdy port. zwłaszcza większy, jest po swojemu międzynarodowy, ale Szczecin aż po śliczne Świnoujście i cudny Wolin jest nim w szczególnej mierze. Jest międzynarodowy, jest bałtycki, jest wreszcie słowiański. Nie z nazwy tylko. Rosjan jest coraz mniej, ale są, z żonami, także dziećmi; Czesi napływają jakby na potwierdzenie kawiarnianych proroctw. Skandynawowie; Anglosasi; a jeszcze Francuzi. Tak, jest w aurze Szczecina coś szerokiego, nowego, międzynarodowego, z czego jednakowoż nie należy jeszcze wnioskować, że od świętego Jana Szczecin będzie już... Wolnym Miastem. A Polacy? Otóż w tym niespodzianka, że Szczecin raz jeden więcej nie jest paralelą Wrocławia. Wrocławian stanowią ludzie ze Lwowa. Zdawało by się, że Szczecin powinien być Wilnem. Wcale nie. Owszem, są wilnianie (zwłaszcza na prowincji — ale prowincja szczecińska to nie Szczecin; o tym osobno). Ze swym spokojnym uporem twardością, wytrwałością wypełnili tu w najcięższych latach trwałą rolę. Ale Szczecin jest mało wileński. Raczej Toruń; raczej Ełk. Jakiż jest zatem Szczecin? Z jakiej polskiej gliny lepione jest to miasto? Nie trudno się zorientować. Prym wiodą tu ludzie z Warszawy i Poznania. Stop warszawsko-poznański. Może dla pogodzenia przoduje jednym i drugim lwowiak Borkowicz. Tak, aby było w tej robocie więcej „fajeru". Poznaniacy — gdzie twarda, solidna robota. Warszawiacy — gdzie ryzyko, mierzenie sił na zamiary, dokonywanie nieprawdopodobieństw. Wydobycie jakiegoś beznadziejnego, zdawało się, wraku z dna zalewu. Odratowanie jakiegoś przekreślonego domu. Ludzie, co morze widzieli na pocztówce a żaglówki — z mostu Poniatowskiego, naraz — na połowy dalekomorskie (I, co najlepsza, fortunne).

Tyle napisałem już o tym Szczecinie, a nie napisałem jakie to piękne miasto i kraj Szeroka, zielenią broczącą dolina Odry; właśnie dolina, nie płaskie jakieś żuławy. Lasy ciemne sosną, pachnące lipą, bielejące brzozą. rozszumiałe dębem. Świnoujście z jego portem rybackim, niestety, niewykorzystanym należycie a jak pięknym na wakacje chociażby Pamiętam taki wieczór pod Szczecinem. W małym zestrzelonym miasteczku zeszliśmy nad Odrę Jej spokojnymi o wieczorze wodami płynęły niekończącym rzędem barki; były ciężkie, ugięte pod ładunkiem: dwie pod banderą czechosłowacką. Młody, na Białorusi urodzony pomocnik Wopu pytał łaknąco a śpiewnie o polskie książki, dzwony biły na majowe nabożeństwo w starym ceglanym kościółka Dzień zachodził pogodny. Wracaliśmy w noc jeep'em, okna domów świeciły ciepłem nowych istnień a przed nami nad uśpionym Szczecinem stała już różowa łuna świateł, jak zapowiedź lepszego jutra, jak brzask trudny z dala wstający przed Polską.

Ksawery Pruszyński.

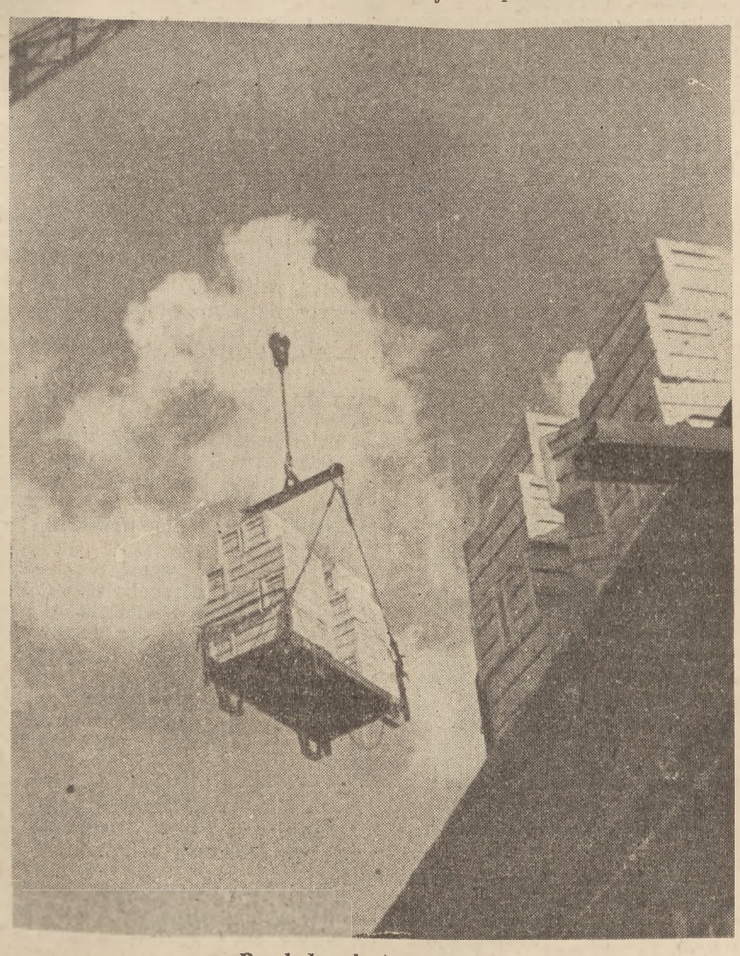

Przeładunek towarów

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU LITERACKIEGO »ODRODZENIA«

na temat

»MIASTECZKO POLSKIE 1947 R.«

Sąd konkursowy w składzie:
Tadeusz Breza, Eustachy Czekalski, Stanisław Helsztyński, Hieronim F. Michalski, Ewa Szelburg-Zarembina zdecydował nagrodzić ze 187 nadesłanych utworów:

II nagroda:

Nr 1. Łek leży na bocznym torze;
„ 2. Miasto przyszłości;
„ 3. Powszedni dzień;
„ 4. Podwójne życie Kiernozi;
„ 5. Iskry w mroku;

III nagroda:

Nr 6. Syreny gwiżdżą o siódmej;
„ 7. Pionierzy;
„ 8. Dom Płużków;
„ 9. Przemienienie;
„ 10. Miasteczko.

Po otwarciu kopert okazało się, iż autorem pracy:

Nr 1 jest **Janina Kobus**
„ 2 „ **Zofia Starowieyska-Morstinowa**
„ 3 „ **Maria Szulecka**
„ 4 „ **Teodor Goździkiewicz**
„ 5 „ **Sławomir Folfasiński**
„ 6 „ **Lucjan Wolanowski**
„ 7 „ **Stanisław Jaśkowiak**
„ 8 „ **Teofil Kowalczyk**
„ 9 „ **Jerzy Lovell**
„ 10 „ **Adam Wiernicz.**

W liczbie 187 nadesłanych utworów znalazło się 42 powieści, 132 opowiadania, 7 sztuk scenicznych i 6 essayów. Pięć utworów nadesłano po właściwym terminie.

Sąd zaznacza, iż wiele z nadesłanych prac nie odpowiadało warunkom konkursu pod względem rzeczowym. Większość prac pochodzi ze sfer inteligenckich. Nie odezwały się prawie wcale środowiska robotnicze. Na ogół jednak sąd, mimo bardzo starannego i pieczołowitego wyboru, nie znalazł w nadesłanym materiale pozycji odkrywczych pod względem rzeczowym i literackim. Dlatego nie przyznano nagrody pierwszej.

Sąd konkursowy prosi nagrodzonych autorów o nadesłanie adresu, krótkiego życiorysu i fotografii. Nagrody będą przesłane przez pocztę.

fot. WAF

Na pokładzie statku żeglugi przybrzeżnej

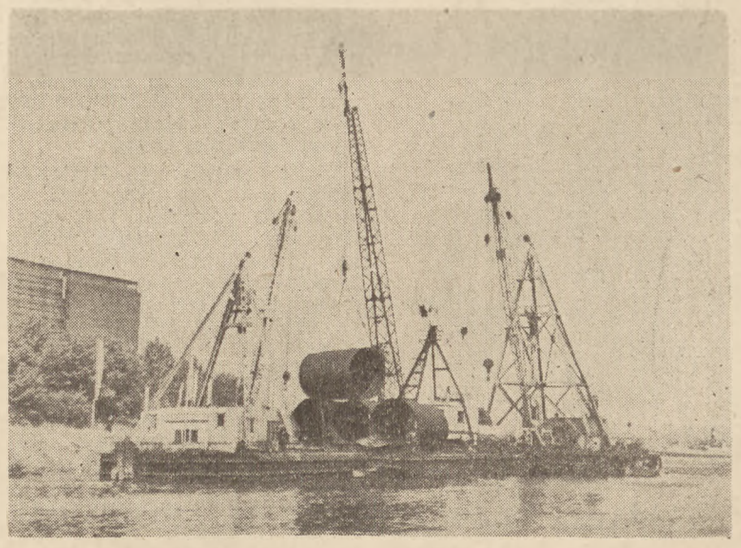

Część strefy wolnocłowej oddanej Czechosłowacji

K. W. ZAWODZIŃSKI

W sprawie genealogii Dostojewskiego

Rusycystyka polska wzbogaciła się ostatnio o książkę, wprawdzie po angielsku, ale niewątpliwie dzięki podkreślonej przez wydawnictwo narodowości autora — stanowiącą nabytek polskiej literatury krytycznej. Jest to książka o Dostojewskim, napisana przez Stanisława Mackiewicza, biografia pisarza, w której nacisk jest położony na wyrazistą charakterystykę oblicza Dostojewskiego, jako człowieka i ideologa na tle jego czasów i środowiska. Czytelnik angielski oceni zalety barwnej opowieści, umiejętnie wyzyskującej materiał historyczny i anegdotyczny dla jaskrawego, niekiedy pogrubionego uwydatnienia rysów tła i postaci, najbardziej uderzających, najbardziej egzotycznych dla Zachodu. Chętne podnoszenie stron życia tzw. „drastycznych", wydobywanie ponurych tajemnic seksualnych Dostojewskiego jest niewątpliwie skutecznym sposobem, mającym obieg międzynarodowy — powiększenia atrakcyjności książki; zniewala też czytelnika unosząca się nad wszystkim atmosfera emocjonalnego stosunku do losów pisarza i do wartości jego dzieła. Stąd i jego ocena „idąca w najwyższe", jakby powiedział nieboszczyk M. Limanowski: pierwsze słowa książki umieszczają „geniusz Dostojewskiego obok Szekspira, Woltera i Cervantesa" (dość dziwny wybór nazwisk!), a następne zdanie zapewnia, że nie tylko z Balzakiem może być porównany, lecz jako myśliciel chrześcijański — z Franciszkiem z Asyżu i Tomaszem à Kempis. Pewnie nawet czytelnik angielski jest zdziwiony brakiem w tych porównaniach choćby powieściopisarzy — rówieśników: Turgieniewa i Tołstoja. Ale w ramach niewielkiej książki sama puścizna literacka Dostojewskiego nie mogła być potraktowana dostatecznie szeroko, więc też trudno się tu spodziewać wystarczającego uzasadnienia sądu i w ogóle stosować do tej strony studium Mackiewicza miarę wymagań, jakie się zwykle stawia fachowym monografiom znakomitych pisarzy. Zresztą, jak już widać z napisu na obwolucie, wartość książki miała polegać raczej na dokładnej, autentycznej, coraz rzadziej na zachodzie Europy znajomości środowiska i społeczeństwa rosyjskiego z czasów carskich, znanych autorowi ze wspomnień dzieciństwa i młodości. Do tej strony dopiero można by już zastosować inną skalę wymagań, żądając ścisłości, nawet w szczegółach. Niestety, nie zawsze autor stara się dociągnąć dokładność przedstawienia rzeczy do precyzji, tam nawet, gdzie to było możliwe.

Tak np., omawiając pochodzenie Dostojewskiego (rzecz ważna dla uzmysłowienia jego kompleksu „poniżonych i zelżonych"), Mackiewicz przedstawia normy prawne organizacji stanu szlacheckiego w Rosji. Jest mowa o księgach genealogicznych i ich podziale na sześć części: co krok jednak znajdujemy tu nieścisłości, wymagające skorygowania. „Szósta część" ksiąg genealogicznych szlachty rosyjskiej nie jest bynajmniej synonimem „Księgi Aksamitnej" („Barchatnaja Kniga"). Ta księga była jedną z pierwszych prób zorganizowania stanu szlacheckiego w latach 1682 — 83, więc w epoce szczytowego nasilenia wpływów kultury polskiej w państwie moskiewskim na wzór polski, z różnych kategorii poddanych, obowiązanych do służby osobistej carowi („służyłyje ludi"): zaczęto od szczytów i ostatecznie ten pierwszy herbarz moskiewski objął bardzo niewielką ilość rodzin, przeważnie książęcych lub bliskich dworu carskiego. Jeśli wziąć pod uwagę, że w ciągu następnych dwu wieków znaczna część tych rodzin wygasła, łatwo zrozumieć, że zaszczyt figurowania w tej księdze przypada tylko bardzo nielicznym nazwiskom. Ze stanowiska miłośnika literatury, nie zapuszczającego się głębiej i szerzej w badania heraldyczne, stwierdzić muszę, że wśród tak arystokratycznej pochodzeniem pisarzy literatury rosyjskiej pierwszej połowy XIX w., o jednym tylko poecie, noszącym historyczne, zwłaszcza w dyplomacji moskiewskiej XVII w., nazwisko — Pleszczejew (à propos, współskazaniec Dostojewskiego w sprawie „Pietraszewców"), wiemy pozytywnie, iż pochodził z rodziny zapisanej do „Barchatnej Knigi". Wiadomości tej brak poza tym nawet tam, gdzie jest najbardziej spodziewana, wśród danych, zwykle tak szczegółowych, o pochodzeniu Puszkina, nawet Sałtykowa, największego przecież z rodu arystokraty literatury rosyjskiej rolą dziejową jego starożytnych przodków, więc już z mniejszym nieco zdumieniem konstatujemy jej brak w znanych nam biografiach Turgieniewa, Tiutczewa, Karamzina, Tołstoja, Bunina i innych reprezentatywnych arystokratów „stołbowych dworian", wpisujących się własnym piórem do „aksamitnej księgi" literatury rosyjskiej.

Wszystkie te nazwiska zapisane są natomiast w „szóstej części" księgi genealogicznej szlachty ich ojczystej guberni (a zwykle również i moskiewskiej, co było pewnym dodatkowym, historycznie powstałym zaszczytem). Ale to jest związane z ostateczną organizacją korporacyjną stanu szlacheckiego w roku 1785. Wówczas to szlachta stuletniej co najmniej starożytności (więc sprzed roku 1685) została zarejestrowana w szóstej części utytułowana w piątej, obcokrajowego pochodzenia w czwartej pierwsza księga była przeznaczona — nie do rejestracji starożytnej szlachty, jak błędnie informuje Mackiewicz, lecz dla uszlachconych łaską monarchy, druga dla tych co zdobyli szlachectwo dziedziczne osiągnięciem odpowiedniego stopnia w służbie wojskowej, trzecia — dla analogicznie uszlachconych w służbie cywilnej i przez ordery. Wiele jednak rodzin szlacheckich (jak to można sprawdzić choćby w rosyjskim słowniku encyklopedycznym Brockhausa i Effrona) figuruje zarówno w szóstej, jak i (zapisem innych gałęzi rodu) w pierwszej, drugiej lub trzeciej części: po prostu skrupulatny, pokolenie za pokoleniem, z okazaniem autentycznych dokumentów, wywód od jakiegoś przodka z XVII w. był tak kłopotliwy i kosztowny, a często niemożliwy (zniszczenie dokumentów w pożarach itp.), że zadowalano się wywodem od bliższego przodka, pułkownika lub rzeczywistego radcy stanu, albo wprost odwoływano się do łaski cesarskiej. Sam więc fakt zapisu Dostojewskich w trzeciej części ksiąg genealogicznych nie jest decydującym dowodem przeciw ich dawniejszemu szlachectwu.

Zbliżamy się do sprawy, która usprawiedliwi moje przydługie informacje i poprawki, stoją one bowiem w związku z moją bardzo dawną obserwacją, następnie opublikowaną w liście do „Wiadomości Literackich" (nr 21/334 z r. 1930): a mianowicie, że Nietzsche był „stryjcem herbowym", więc jakby krewnym z punktu widzenia heraldyki polskiej, Dostojewskiego, swego prekursora i inspiratora w stworzeniu koncepcji „nadczłowieka". Oczywiście ma to tylko znaczenie ciekawostki, o której, jeśli warto mówić, to dopiero gdy istnieją podstawy autentycznego wywodu filozofa niemieckiego od Nickich, a Dostojewskiego ze szlacheckiej rodziny polskiej tegoż herbu Radwan. Nie wchodząc tu w rozpatrywanie pierwszej sprawy, co do Dostojewskiego stwierdzić trzeba, że, wbrew negatywnemu stanowisku Mackiewicza, tradycja domowa pisarza o jego pochodzeniu*) ma dużo cech wiarygodności.

Herbarze polskie (Niesiecki, Boniecki) związują nazwisko Dostojewskich herbu Radwan z odmianą z miejscowością Dostojewo w powiecie pińskim. Najwcześniejsi znani przedstawiciele rodziny w XVI w. noszą imiona ruskie, należą do otoczenia ks. Kurbskiego, jednego z filarów „błagoczestiwej.." wiary; fundują monastery (prawosławne, oczywiście, nie katolickie, jak zapewnia Mackiewicz): była to więc rodzina ruska pierwotnie i prawosławna. W końcu XVII i w XVIII w. zjawiają się Dostojewscy o imionach katolickich, nawet osiedleni w centralnej Polsce (w Sandomierskiem); zwykły objaw powszechnego polszczenia się w tym okresie całej prawie wyższej, kulturalnej warstwy szlacheckiej. Mimo to część jej na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej pozostaje „ritus graeci", a garstka nawet dyzunicka. Mogło to być i prawdopodobnie było jakąś gałęzią Dostojewskich, najpewniej zdrobniałą i zbiedniałą: hipoteza odstępstwa od rzymskiego katolicyzmu, którą słusznie Mackiewicz uważa za nieprawdopodobną, wcale nie nasuwa się w tym wypadku. Z tej gałęzi ktoś mógł zostać parochem w Bracławiu.

Geograficzno - historyczne okoliczności nie stoją z tym przypuszczeniem w sprzeczności: południowe ziemie ukrainne Rzplitej, opustoszałe w czasie wojen kozacko - tatarsko - tureckich teraz, w połowie XVIII w., zaludniają się znowu, jak to nieraz w historii bywało, napływem kolonistów ze swego pobliża zachodniego i północnego, więc z Polesia. Dostojewski, który tu zawędrował z falą repatriantów czy kolonistów, nie musiał być dyzunitą: unicka była formalnie cała Ukraina polska w czasach stanisławowskich, by stracić bezboleśnie tę powierzchowną, jak się okazało, powłokę z przejściem pod zabór rosyjski.

W ten sposób ojciec pisarza był ze stanowiska norm stanowych rosyjskich zwykłym popowiczem. Samo brzmienie nazwiska harmonizowało dla wielkorosyjskiego ucha ze „stanem duchownym": większość nazwisk tego stanu (ustalonych dopiero zwykle przy oddawaniu do seminarium, na przełomie XVIII i XIX wieku; przedtem były zbyteczne, gdy syn po ojcu wprawiwszy się przy nim obejmował parafię, nie wychylając się przez całe życie poza granice swego sioła) kończyła się na „skij", tworzona bądź od wezwania cerkwi (Wozniesienskij, Wwiedienskij, Kriestowozdwiżenskij), bądź od nazwy rodzinnego sioła. Takich nazwisk, brzmiących nobliwie dla polskiego ucha, daje głośnych przykładów wiele sama historia piśmiennictwa rosyjskiego, od Triedjakowskiego po Bielińskiego i Czernyszewskiego.

Inaczej było w granicach dawnej Rzplitej. Nic mi nie wiadomo o utworzeniu się tu dziedzicznego stanu duchownego. Natomiast, jak i w obrządku łacińskim, gdzie przecież wyższe godności kościelne były zarezerwowane dla szlachty, „urodzeni", „gente rutheni", nie brzydzili się stanem duchownym, jako drogą zdobycia zaszczytów, majątku, a przynajmniej (jeśli chodziło o proletariat szlachecki, tak liczny) chleba. Z tradycji rodzinnych znam w Połockiem i Witebskiem wiele wybitnych domów, w XIX wieku katolickich i szczerze polskich, które przedtem dostarczały dostojników cerkwi (Lisowscy, Kossowowie); inne po wiekach wiernej służby Rzplitej, pozostając przy wschodnim obrządku, zruszczyły się ostatecznie (Białynicy — Birula), jeszcze jednak w XIX w. nie zrywały kulturalnej łączności z polszczyzną.

W ogóle pogranicze kulturalne polsko - rosyjskie, to zwężając się to rozszerzając, było dość znaczne jeszcze w połowie ub. stulecia. Ilustrują ten stan rzeczy w dziejach literatury polskiej dwa nazwiska: jedno znakomite, Wł. Spasowicza, lekkomyślnie pokrzywdzonego przez Mackiewicza określeniem „3/4 Polaka", patriotę polskiego choć „ugodowca". Inne mniejszego znaczenia i wartości, przecież charakterystyczne: Placyd Jankowski, uczeń uniwersytetu wileńskiego, przyjaciel Kraszewskiego i innych pisarzy, sam literat polski (John of Dycalp), na starość protojerej i autor carosławnych broszur o „działaczach zachowania rosyjskości kraju zachodniego". Był synem księdza unickiego, ale czy niezależnie od tego nie był szlachcicem? Myślę, że to przykład typowy i w wyjaśnieniu genealogii Dostojewskiego pomocny.

W ten sposób, po dalekich dygresjach, wróciliśmy do interesującej nas sprawy. Ukazane po drodze nieścisłości Mackiewicza są nieuniknione przy podjęciu tak trudnego zagadnienia przez publicystę, który potrafił jednak stworzyć książkę interesującą i efektowną.

K. W. Zawodziński

*) Nic o niej nie wiedziałem robiąc swoje „odkrycie" przed 40 blisko laty. Dopiero później dowiedziałem się o pretensjach genealogicznych córki pisarza, można to jednak było zrzucić na karb drobnostkowego snobizmu małych potomków wielkich ludzi. Dopiero z książki Mackiewicza dowiaduję się o świadomości tej tradycji także i u samego Dostojewskiego, którego nie można podejrzewać ani o snobistyczne wertowanie herbarzy polskich, ani o chęć dorobienia sobie polskich przodków. Była to więc autentyczna tradycja domowa.

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

DEPESZA Z HELLADY

Gdy brzask uderzy skrzydłem w szyby
jak dziki, szmaragdowy kogut,
żandarmi, uzbrojone grzyby
zarosną ogród, staną w progu.

Dla nieugiętych mina, rudnik,
salwa i bagnet i kopniaki.

O takiej porze skonać najtrudniej,
gdy świegot kul wyprzedza ptaki,
niebo zajmuje się na wschodzie
jak spirytusu wielka bania,
słońce nie wzejdzie dziś jak co dzień.
Najciężej umrzeć w czas świtania,
z łóżka się powlec w rów strzelecki,
zachwiać się, runąć twarzą na dno:
taka jest śmierć powstańców greckich,
życie przewraca się jak wiadro.
Dziewczynę budzi kolby łomot,
w piżamie wiejski nauczyciel
kuśtyka na stracenie boso,
gaworzą studnie, ptaków zamieć,
rdzewieje liść otruty rosą.
To wszystko. Trzeba się ustawić
do własnej śmierci nieruchomo
jak do jarmarcznej fotografii.

Najciężej umrzeć jest o świcie
wędrują owce połoniną
jak głowy cukru, szklane dzwonią
gwiazdy na wstążce, gwizdnie pasterz,
pluton ładuje, czas dziewczyno,
chustkę umocuj, przygładź dłonią
węzeł pożaru — sypkie włosy.
spojrzenie przeciw karabinom
jak połysk stali zalśni jasne.
O, trzeba się ustawić ładnie,
nim oczy zgasną, krew wypluszcze,
nim człowiek martwy w błoto padnie.
Więc w srebrze świtu niby w lustrze
dziewczyna lok odgarnia z czoła,
mężczyzna z brązu ma oblicze,
mięśnie są złote, stygną w posąg.
Martwi się wiejski nauczyciel:
już pora dzieciom, pusta szkoła.

Nie, duszy nie ma. Jest podwójna
śmierć prosta, jakby ją wyciosał
strumień w granicie. Nie ma duszy:
zmarli wracają, patrol czujny —
to górskie forty żołnierz kruszy,
ochotnik biegnie do Markosa.

W poprzednim 24 (185) numerze „Odrodzenia" z dnia 13 czerwca 1948 r.: **Wacław Kubacki:** Czym były Włochy dla Mickiewicza. — **Andrzej Braun:** Śmierć w słońcu. — Krotofila, Minucja, Fraszka. Zapomniana „literatura mieszczańska" XVII w. Wybrał i opatrzył wstępem: **Ksawery Pruszyński.** — **Franciszek Gil:** Zapiski do reportażu o Szczecinie. — **Jalu Kurek:** Hejze ino fijołecku leśny... — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca, (10). —**Stanisław Gogłuska.** Listy paryskie: Rozwiązywanie zagadek i nowe „izmy". — **Józef Maśliński:** Zobaczyliśmy teatr Louis Jouveta. — Książki: Powieść („Młodości śpiewaj" Jalu Kurka), Pamiętniki („Oflag" Marka Sadzewicza), Popularyzacja literatury („Gustaw Flaubert" Jana Parandowskiego).— **Anna Z. Linke:** Wystawa grupy „Warszawa" w SARP-ie. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: XXXIII koncert symfoniczny. — **Konstanty Puzyna:** Z teatrów Wybrzeża: Kwiaty i chwasty. — Film („Guwernantka" film produkcji amerykańskiej). — Camera Obscura. — 16 ilustracji. — 8 stron.

WOJCIECH ŻUKROWSKI — rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

11)

Albo właśnie z nią się pokazywać, na znak, że baby się pomyliły, wykazać całą niedorzeczność posądzeń! Nie potrzebuję się z nikim liczyć i tak wkrótce stąd wyjadę...

Wyjechać... Już więcej nie zetknąć się z mieszkańcami zamku uniknąć niepotrzebnych wyjaśnień, nie słyszeć szeptów za plecami, śmiechów. Dostać się znów na probostwo i zacząć robotę jak dawniej z ludźmi, u których trudno o niespodzianki. Wydało mu się, że gdyby nie wojna i to przerzucanie z miejsca na miejsce, nigdy by nie miał cienia obawy, wróciłby do dawnego rytmu w czerstwe życie na wpół wieśniacze. I zaraz odzyskałby spokój.

Ale odjazd równie dobrze mógł nastąpić jutro, jak i za tydzień... Przed nim leżały potłuczone talerze i krupnik rozlany na deskach jakby ktoś zwymiotował. Rozumiał, że od tej chwili musi sam. Nikt już mu nie pomoże, przepadły drobne usługi, które przyjmował jako oczywiste.

— Nie wiem nawet czy mi jutro w piecu napalą — szepnął Rosła w nim jednak gniewna chęć popróbowania się, aż gwałtownie przyklęknął, zaczął zbierać skorupy. Potem z obrzydzeniem wytarł zupę ręcznikiem i wyżął do miednicy.

— Nie dam się — pomyślał - nie będę prosił nikogo...

Oparł miednicę o biodro, otwarł drzwi i odważnie ruszył na schody. Gdy wyszedł na podwórze, przekonał się, że mimo grzmotu przewalającego się doliną nic jeszcze zamkowi nie zagraża. Pociski pękały w lesie, dym wichrzył się nad wierzchołkami drzew. Odgłos eksplozji potężnym chluśnięciem spadał w dolinę i odbity od przeciwnej ściany falował długo.

— Dobrze, że to zima — pomyślał — inaczej dawno by się paliło — strzaskane gałęzie świerków ulatywały w chmurze.

Stał jednak blisko drzwi, gotów w każdej chwili do ucieczki, nie miał ochoty się narażać. Mimo słońca podwórze robiło wrażenie pust-

ki. Zarżnięte krowy leżały jedna z dala od drugiej, jakby zginęły szukając schronienia pod dachem wozowni. Sztywniejące nogi raciczki godziły w niebo.

Uspokojony, przebiegł podwórze i skręcił za stajnię, wyrzucił skorupy pod mur. Odwracając się zobaczył, że pod kasztanem ktoś leży. Podbiegł, nie spuszczając jednak oczu z krawędzi lasu, cały nasłuchiwał czy spośród potwornego bulgotania nie dojdzie go gwizd nadlatujących odłamków.

Przyklęknął i dźwignął żołnierza twarzą do światła. Wzdrygnął się, zabity policzki i czoło miał oblepione czerwonym od krwi śniegiem. Gdy wsunął mu dłoń pod zmoczoną, gąbczastą bluzę, namacał pierś zimną już i śliską.

Teraz nagle ksiądz pojął, dlaczego mimo ognia ryczącego na górze dolina razi martwotą. Łysy szczyt Kułaka świecił w zimowym słońcu, omieciony z wron, ani jedno skrzydło nie zamrugało na białawym niebie.

— Przecież on nie może tak leżeć — szepnął. Powlókł zabitego pod szopę, ale natrafiwszy na krowy poniósł go dalej do stodoły. Rozścielił snopek, odruchowo przyrzucił dwie garści pod głowę, jakby to miało jeszcze znaczenie, poprawił go wygodnie. Potem przyniósł z domu świeże prześcieradło i przysłonił nim trupa.

Zmówił stojąc nad Rosjaninem krótką modlitwę, obiecywał sobie tu jeszcze powrócić. Wchodząc w czynności kapłańskie, uspokajał się. Od razu zaczął myśleć o tym, gdzieby zabitego pochować, po gospodarsku wybrał miejsce w parku pod trzema świerkami, niedaleko ścieżki.

W krótkich przerwach ostrzeliwania dolatywały go głosy dzieci, chóralne i krzykliwe. — Pewnie nikogo przy nich nie ma — pomyślał — może się modlą ze strachu... Trzeba tam wreszcie zajrzeć, obiecałem Łucji, że się nimi zajmę. — I nagle pomyślał; jeśli skargę na mnie napisały te dwie kucharki, nie będzie mi trudno wszystko wyjaśnić. Co za głupota... Poweselał, szybko ruszył do drzwi sierocińca.

W korytarzu słychać było skłócone głosy dzieci, przekrzykiwały się. — Pewnie szaleją ze strachu — pomyślał, ale otwarłszy drzwi zrozumiał pomyłkę. Dzieci śpiewały w kółko jedną strofkę:

— Coś tam w lesie stuknęło,
coś tam w lesie puknęło,
a to komar z dębu spadł,
złamał sobie w krzyżu gnat!

— Proszę księdza, jak tylko zaśpiewamy, zaraz zaczyna na nowo huczeć! To jest świetna zabawa!— wołały dzieci.

Wiele z nich siedziało na podłodze, otaczając klęczącą Irkę.

— Pani jest sama od dawna?

— Zastąpiłam Celinkę, prosiła mnie, żebym na chwilę, ale już kawał czasu jej nie ma...

— O, jak to dobrze, że się ksiądz pokazał — powiedziała Nahorayska, prowadząc obie córki. — Wesoło u was, a tam w kuchni baby beczą, pozamykały się ze strachu...

— A wy się boicie? — uszczypnął ksiądz policzek Gabryni.

— Nie! Mamusia nie pozwoliła!

— Wzięłam je ze sobą i tak muszę być z dziećmi, będę o swoje spokojniejsza...

— Zdaje się, że front nas przeskoczy.

— Dałby Bóg. Mój mąż gdzieś wyszedł, nie widział go ksiądz?

— Nie, ale przecież daleko nie odszedł, w takiej chwili musi myśleć o całym domu...

Dobrze, że jej nie powiedziałem o zabitym, — pomyślał. Irka wstała, uwolniła się od dzieci uczepionych u jej rąk i podeszła do pani Janiny.

— Czy mogę teraz wyskoczyć na chwilę, zobaczę co mamusia robi...

— Dobrze, może od razu poszukasz Celinki. No, dzieci, śpiewajcie, bo przestało grzmieć!

✤

Sędzia zacisnął dłonie na poręczy altany, wpatrywał się w jasną lukę między drzewami. Słońce świeciło białawo. Przesieka odsłaniała łąki Mokronosu, zamaskowaną linię pozycji niemieckich i niewielkie wzniesienie przed Doboszowem, od którego zaczynało się właśnie rozwijać rosyjskie natarcie.

Ze śniegu wyskakiwały grupki szarawych postaci i wachlarzowato rozsypywały się po równinie. Nie padali, szli powoli, niedbale, jakby nie spodziewali się natrafić na opór. Przyczajeni Niemcy nie otwierali jeszcze ognia.

— Żeby ich móc ostrzec — pomyślał sędzia.

Jak na zawołanie z lasu wyleciała czerwona rakieta i migotała długo nad krzakami.

Rosjanie przyspieszyli kroku, niektórzy biegli, doszedł go krzyk — uuuuaaaa... Dreszcz przebiegł mu po karku. W wiklinach zakuwrzył się śnieg nad trzeszczącymi karabinami.

Natarcie nabrało rozpędu, ale widać było, jak wiązki kul zacinają po śniegu. Żołnierze zaczęli padać, jeśli nie byli ciemną twarzą zwróceni ku niebu, niewiele się różnili od nawianych zasp. Natarcie zaczęło się zwijać, wreszcie zatrzymało się i zaryło na dobre.

Teraz słyszał świst kul, niektóre przenosiły w las. Jakaś grupka napastników wyskoczyła z kępy olch i dopadła pozycji. Zaczęło się krótkie mocowanie, Niemcy mieli przewagę, zepchnęli Rosjan, położyli niskie ognie, gniotąc ich w śnieg.

— Zażarcie się bronią — pomyślał sędzia, nienawiść nie umniejszała w nim uznania. — Bez artylerii ich nie spędzą...

Zaszumiało górą, pociski armatnie szurały o błękit. Granaty zaczęły pękać gejzerami dymu nad rzeczką, gdzie ołowianą taflą ciemniał odwiany lód.

Brzmiało to tak, jakby potężna pięść wyłamywała deski z drewnianego parkanu. Niemcy przestali strzelać. Wcisnęli się w śnieg, zostawały na nim ciemne, okopcone koła po wybuchach.

— Celnie biją — pomyślał sędzia. — Ale gdyby dorwali się do lasu, mogliby Niemców obejść i wygnieść do jednego...

Rosjanie jednak podejrzewali, że w lesie mogą się kryć dalsze niespodzianki, bo granaty zaczęły pękać między drzewami, zatrzeszczały konary, stękanie eksplozji zakołysało przesieką.

Sędzia mocno wsparł się o słup altany. Kręcił niespokojnie głową słysząc, jak pieją odłamki i stukają więznąc w pniach. Ogień artyleryjski deptał po Niemcach i lesie.

Otwarcie ust nie przyniosło ulgi, monotonnie dzwoniło mu w uszach, ale uczucie przytłoczenia minęło.

— Nie będę uciekał — szepnął — nie boję się... Trzymał ręce zaciśnięte na poręczy, karał się za niedawny lęk, napięte mięśnie drętwiały.

— Nie boję się niczego! — szeptał z dumą, tkwiąc w środku nawałnicy. Gdy pociski przeciągały blisko, podnosił głowę i ze zmarszczonym czołem patrzył na zbutwiałe deski wiązań dachowych.

Książki • Książki • Książki • Książki

PROZA

„SEDAN"
Pawła Hertza

Warszawa, „Książka", 1948; str. 241 i 3 nl.

Opowiadania Pawła Hertza, to najlepsza chyba z dotychczasowych „spowiedź kajającego się inteligenta". Najlepsza przez sugestywność i konsekwencję analizy czy wniosków, przez doskonałą robotę, świadome i panujące nad tematem pióro. Autor najlepiej pokazuje nam od wewnątrz świat umarłych form, świat plutokracji kapitalistycznej. Widzimy w kolejnych opowiadaniach przemiany człowieka, wraz ze zmianą warunków, w jakich żyje. Świadomość często wyprzedza rzeczywistość, uczucia zawsze za nią kuleją. Bohater książki, Adam Lambert, pokazany jest w różnych momentach swego życia, najpierw tkwiąc całkowicie w swym stojącym przed zagładą świecie, później stopniowo wychodzący z tej skorupy, którą zresztą nie tyle on rozbija dziobkiem swej świadomości, ile zewnętrzne ciosy wydarzeń. Książka jest irytująca przez ciągły komentarz i wszechobecność autora, przez konsekwencję w wyciąganiu wniosków, i krępującą szczerość niektórych wyznań autora, wreszcie przez nużący egotyzm. Robota pisarska Hertza jest celowo przemyślana. Sferę rentierów ukazuje nie za pomocą obiektywnych cech, ale przez styl, obyczaje, wewnętrzne konwencje i psychologię ludzi zwłaszcza. Hertz obnaża ten świat do kości. Co jest jego cechą? Atmosfera przeczuwanej klęski. Podróże, jako ucieczka od rzeczywistości świata w nowość i oczekiwane. Pozycja cudzoziemca, jako wyraz postawy bierności, obojętności i nieodpowiedzialności. Żyjąc w świecie konwencji i wartości umownych nie było okazji poznania różnorodności świata. Świat konwencji był jednakowy wszędzie w tym kręgu. Stąd fetyszyzm i mitologia przedmiotów przewija się przez całą książkę. (Te nesesery, zegarki etc., które tak irytują czytelnika). Świadomość bohatera w „Sedanie" — najlepszym chyba opowiadaniu z tomu—jeszcze nie ogarnia nici wiążących go z prawdziwym światem. Historia psychoanalizy, to typowy produkt poznawania człowieka w oderwaniu od tego świata. Odizolowanie od niego odbyło się bez wstrząsu. Uświadomienie sobie tego stało się klęską, bo oznaczało niewiedzę o tym świecie, brak zainteresowania i brak tęsknoty za nim. Stryj Hieronim jeszcze walczy, ale anonimowa koncentracja kapitału uniemożliwia mu kontrolę nawet w dziedzinie własnych interesów. Adam z góry wyraził swe désintéressement, nawet dla własnej klęski. Kocha rzeczy, nie kocha ludzi.

„Ucieczka z krainy Lambertów" obrazuje następny etap, wyrywanie się z zaczarowanego kręgu. Problem dość ryzykowny — próba usprawiedliwienia faktu opuszczenia, zdrady, skazanych przez historię. Patetyczny styl, który często szkodzi utworom, czyni z faktu opuszczenia Lambertów niemal bohaterstwo, gdy nie było to (w noweli) niczym wielkim. Realnie biorąc musiał opuścić ten dwór, choćby nawet nie chciał. (Przecież inni bohaterzy opuszczali go całkiem bez patosu i zgoła nie uroczyście).

Rozpoczyna się stykanie z nowym światem. Mamy dalej rozwiniętą ideę przekształcania się człowieka wraz ze zmianą warunków. Wypada ona nie szczególnie. Lambert ogląda Dymitra Mojsiuka jak egzotyczną małpę, mimo że jak sam autor twierdził, prości ludzie są wszędzie jednakowi.

Wreszcie powrót do dawnego życia po tych wszystkich zmianach, do świata, którego już właściwie nie ma (byk porwał Europę). Pokusy powrotu do dawnego życia, szczególnie silne w Paryżu, który się mniej zmienił. Ale Adam Lambert już jest nawrócony. Nie odrzuci gorzkiego doświadczenia tych lat. Zestawia siebie obecnego nie tylko ze wspomnieniami i dawnym tłem, porównuje się także z dwoma typami przyjaciół — Zygmuntem, człowiekiem nowego świata, i Stefanem, obywatelem świata, który umarł, wiecznym emigrantem. Afirmuje nowy świat intelektualnie, będąc ciągle jeszcze związanym uczuciowo, gustami, przyzwyczajeniami i stylem z tym zmarłym. Ominął Sedan, został wyprowadzony z Sodomy. I co dalej? Co będzie robił w nowym, obcym uczuciowo świecie. Tu afirmacja intelektualna nie wystarczy.

Symbolika jest zasadniczo metodą pisarską autora. Metoda łączenia symboli drobiazgowych przedmiotów z wielkimi pojęciami historyczno-społecznymi, nadaje im jakieś niecodzienne wymiary. Sedan, ruiny, Sodoma, tętent Walkirii, album rodziny, zegarki, jako stały upływ czasu, lornetka, rozbite zwierciadło, karpie w wysychającym stawie etc.

Styl Hertza jest barokowy, pełen rozwlekłych i patetycznych metafor, konstrukcja opowiadań kunsztowna, wspaniale zbudowana i zamknięta klamrami tych nieskończonych symboli. Opowiadanie przeplatane jest ciągłym komentarzem autorskim, tłumaczącym nie tylko wydarzenia, ale również stosowane przez pisarza formy pisania.

Andrzej Braun

ESSAY

„WIZERUNEK WILLIAMA SZEKSPIRA"
Stanisława Helsztyńskiego

Warszawa, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1948; str. 64.

Odczuwamy wciąż wielkie zapotrzebowanie na publikacje popularyzujące wiedzę. Mają one zastąpić wykładowcę, uzupełnić szkolne wiadomości, skłonić przeciętnego miłośnika lektury do czytania wartościowej, przystępnej, treściwej literatury. Chodzi o to, by wykład uczynić ponętnym, dać mu wdzięk i lekkość.

Musimy stwierdzić, iż „Wiedzy Powszechnej" udało się już wielokrotnie osiągnąć tego rodzaju rezultat w swoich wydawnictwach. Jak wiadomo „Wiedza Powszechna" wzięła sobie za zadanie popularyzację wiadomości z wszystkich dziedzin naukowych. Na półkach księgarskich znajduje się już z górą sto piętnaście książeczek. Niektóre są już prawie na wyczerpaniu. Mamy obecnie przed sobą portret literacki Williama Szekspira, pióra prof. dr. St. Helsztyńskiego. Praca ta powinna zaciekawić szerokie koła nie tylko ze względu na wyczerpujący materiał instrukcyjny. Właśnie sposób podania treści prosty, przystępny, niemal beletrystyczny wskazuje, że umiejętność popularyzacji osiągnięto w tym wizerunku Williama Szekspira w stopniu godnym uwagi. Autor tej książeczki, dr Stanisław Helsztyński, rozpoczyna swój wykład od uwag rocznicowych. Robi to, jakby pisał sprawozdanie ze swojej wycieczki do Stratfordu nad Avonem na festival szekspirowski w r. 1946. Opisuje to miasto, gdzie urodził się poeta, mówi o latach młodych małego Willa, informuje o jego rodzinie, wskazuje, gdzie się uczył, co robił do wyjazdu z rodzinnego miasta. Ukazuje też nam stolicę królowej Elżbiety. Tu w Londynie przez ćwierćwiecze pracował jako autor, pisał swoje arcydzieła dramatyczne. Rozpoczął swoją działalność pisarską, jako autor kronik o królach. Helsztyński robi uwagę:

„Geniusz Szekspira był samorodny, nie potrzebował szlifowania przez naukę, szkoły, uniwersytety. Był jak krzemień na roli, gdy padnie na niego promień słońca, gra wszystkimi barwami tęczy".

Rodzą się komedie: „Wieczór Trzech Króli", „Wiele hałasu o nic", „Sen nocy letniej". I znów refleksja: „Godzi się przypuścić, że nigdy i nigdzie, nawet w „Gospodzie pod Syreną", gdzie Will niekiedy siadywał z kolegami, poetami i aktorami przy szklance wina, nie czuł się tak radośnie jak wtedy, gdy tworzył te czarujące postaci i widział je wcielone w grze towarzyszów na scenie. Rolę kobiet grali podówczas chłopcy".

Przychodzi wiek męski, wiek klęski. William Szekspir (około 1600 r.) zbliża się do czterdziestki, zostaje udziałowcem w przedsiębiorstwie teatralnym Burbage'ów, skupuje domy, place, grunty, zostaje nobilitowany. Panowanie rudej Elżbiety nie nastraja go jednak pogodnie w tym czasie. Powstają wtedy jego wielkie dzieła: „Hamlet", „Otello", „Mackbeth"; „Król Lear". Z tym okresem związane są jego dramaty jak: „Juliusz Cezar", „Koriolan", „Antoniusz i Kleopatra", „Perykles". Końcowy okres — „łabędzi śpiew" — całe siedmiolecie, to jest od 1609—1616 r. przynosi tylko cztery sztuki: „Cymbelin", „Opowieść zimowa", „Burza" i „Henryk VIII". Autor St. Helsztyński przez załączenie chronologicznych dat powstania dramatów twórcy „Hamleta" niezmiernie ułatwia orientację i zapamiętanie wykładu. Rozdział pt. „Szekspir w Polsce" jest również cennym informacyjnym uzupełnieniem wizerunku. Książka jest obficie ilustrowana. Czytelnik, uczeń a nawet wykładowca mogą korzystać z tych ilustracji do lepszego rozumienia sądów o twórczości genialnego dramaturga.

By osiągnąć pełnię nowoczesnego, metodycznego wykładu, prof. dr St. Helsztyński dał ważniejsze wyimki z „Ryszarda II", ze „Snu nocy letniej", z „Hamleta", z „Burzy". Objaśnienia i wskazówki wymowy zadośćuczynią wszystkim wymaganiom pedagogiki.

„Wizerunek Williama Szekspira" pod piórem St. Helsztyńskiego osiąga plastykę, barwność, żywotność. Czyta się tę książeczkę łatwo, zajmująco. Jest jednak wykładem, daje materiał — niezbędny do poznania twórczości „Łabędzia z Avonu".

Warto zastanowić się, co sprawia, że wykładu prawie się nie dostrzega? Trzeba podnieść, iż „wizerunek" ten odpowiada wymaganiom programowym szkolnictwa i równocześnie jest książką, którą każdy kulturalny człowiek przeczyta z zadowoleniem.

Zapewne, najtrafniejsza będzie odpowiedź: prof. dr St. Helsztyński opanował tak świetnie wiedzę o Szekspirze, iż przy pisaniu tej książki szukał tylko formy, by wiadomości swoje podać jak najponętniej, jak najprzystępniej. „Wiedza Powszechna" zawsze powierza popularyzację jakiegoś tematu tylko renomowanym fachowcom. Daje to gwarancję rzeczowości. Umożliwia to również celowe opracowanie, przystępną formę.

„Wizerunek Williama Szekspira" pióra prof. dr. St. Helsztyńskiego jest udałą pozycją „Wiedzy Powszechnej", odpowiadającą w zupełności wymaganiom sztuki popularyzacyjnej.

Eustachy Czekalski

Procesy literackie we Francji

Głośny proces Akademii Goncourtów, wytoczony „odszczepieńcom", dobiegł wreszcie końca. Historiograf Mussoliniego i Pétaina — René Benjamin, który grał w nim rolę drugorzędną, został uniewinniony. Jednakże sąd dopatrzył się świadomej chęci ośmieszenia Akademii w opatrzeniu powieści Kleberga Haedensa „Salut au Kentucky" opaską z napisem „Goncourt hors Goncourt" i skazał Sachę Guitry oraz wydawcę Laffonta na 700 tysięcy franków odszkodowania na rzecz poszkodowanej instytucji, na koszty sądowe oraz opublikowanie pełnego wyroku w 10 dziennikach i pismach, co wyniesie dobre kilkaset tysięcy. Nie wzięto pod uwagę faktu, że Guitry kwestionował ważność wyboru André Billy do Akademii drogą listowną i — co za tym idzie — prawo wniesienia sprawy przez urzędującego obecnie prezesa Luciena Descaves. Pouczono natomiast byłego kolaboracjonistę, że rozproszenie członków Akademii w okresie okupacji — skutek „nieszczęścia ojczyzny" — uniemożliwiło regularne zebrania, niemniej jednak akty tej instytucji, dokonane na drodze korespondencji, mają swoją moc prawną.

Apelacja, którą zapowiedział Sacha, nie zmieni chyba wyroku. Za reklamę, którą tak lubi ten pisarz-aktor, zapłaci on tym razem najwyższą chyba cenę. Zachodzi tylko pytanie, czy Akademia usunie go w końcu ze swego grona. By taka decyzja zapadła, trzeba większości 8 głosów, muszą ją zatem powziąć wszyscy członkowie jednomyślnie, nie licząc „odstępców", którym wytoczono proces.

Inny proces literacki odbył się w Lyonie. Towarzystwo Lugdunum ufundowało w styczniu r. 1947 nagrodę literacką, którą przyznano Charles - Henri Badet za rękopis książki „Les Almogavares". Później jednakże odmówiono wypłaty przyznanej sumy 20 tysięcy franków i uchylono się od wydania książki, co również przewidywał regulamin nagrody. Poszkodowany wytoczył proces. Sąd uznał jego pretensje. Na mocy wyroku sądowego wydawnictwo Lugdunum ma wypłacić nagrodę i wydać książkę Badeta. Każdy dzień opóźnienia wydania oceniony został przez władze sądowe na 500 franków.

Proces ten zainteresował zarówno nagradzanych pisarzy, jak i francuskie domy wydawnicze, bardzo skore do fundowania nagród literackich, które stały się dziś jednym ze środków reklamy dla własnego przedsiębiorstwa.

Stanisław Gogłuska

ARNOLD SŁUCKI

PIEŚŃ HISZPAŃSKA

Noc jest habitem naszej ziemi
zakryli oczy życia, oczy skazańca,
dwa punkciki śmierci dali zamiast źrenic.
Papież błogosławił naszych ciemiężców,
dyktator wołał hosanna,
kołysał się dzwonu mosiężny żandarm,
Trotyl mają w głosie toreadorzy,
zakochani w wierszach Garcia Lorca,
kobiety nad rzekami biały ogień piorą,
w koszykach na rynku pęcznieją granatów marchwie,
gdy w Sewilli tajna drukarenka na strychu
życie odmierza echem jak nietoperz,
kowalom i poetom hiszpańskich miasteczek
na mauzerach kwitną palce — andaluzyjskie róże.

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

W PEJZAŻU MOKOTOWSKIM

W pejzażu mokotowskim młodości nie znaleźć:
Przeżywać by ją trzeba — zbyt późno — od nowa,
Lecz wargi nie ostygły. I nie wiedzą wcale,
Że niema, że bezpłodna ich żałosna mowa.

Nietknięte jeszcze gruzy i wille w ruinach,
I ślady stóp porosłe chwastami zza płotów —
Więc rozczul się lirycznie i tkliwie wspominaj
Młodości nieprzeżytej umarły Mokotów.

Aż nagle świeżym tynkiem z rumowisk zaświeci
Dom cały — i podchodzisz, i przez szybę patrzysz:
I widzisz stół i lampę. I schylone dzieci
Kujące z nowych książek, aby żyć inaczej.

Prosimy wypełnić czytelnie!

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię (4 tomy) Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza. Warunki przepłaty są mi znane. Należność w sumie zł 800 zobowiązuję się wpłacić na konto P. K. O. Nr. I – 7474 w ratach miesięcznych po 200 zł, lub w dwóch ratach po 400 zł albo jednorazowo w miesiącu czerwcu 800 zł.

(niepotrzebne skreślić)

nazwisko — Miejscowość

Imię — ulica, nr domu

Zawód — Poczta powiat

(Podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem:

Warszawa ul. Daszyńskiego 14 „CZYTELNIK" Instytut Wydawniczy

Wyobrażał sobie, jakby się pod uderzeniem rozsypały.

Nagle się ogień przesunął. Ustało szamotanie w gałęziach. Oddychał głęboko, był dumny z siebie, niemal przekreślał poranne zajście.

— A jednak skrycie nosisz pragnienie ucieczki — pomyślał — bałbyś się zejść i powiedzieć jasno żonie, pożegnać się z nią jak mężczyzna...

Poruszył się. — Zejdę, właśnie, że zejdę i powiem!

Spojrzał raz jeszcze na łąki. Niemcy strzelali słabiej, widać mieli straty. Rosjanie nie spieszyli się z atakiem.

— Opór jest na małym odcinku, nie utrzymają się długo, widać mają rozkaz tylko opóźniać ofensywę, dziś już będziemy wolni — pomyślał z ulgą. Wydało mu się, że słychać już pojedyncze strzały w lesie. Wysunął się między drzewa i zaczął szybko schodzić po pochyłości.

— Widziałem co było trzeba — szepnął — wiem czego się można spodziewać... Dłużej nie ma po co ryzykować...

Gdy ostrożnie spojrzał w stronę stajen, zaskoczony przystanął, zwłoki zniknęły. Dom raził go opuszczeniem, otwierał kolejno pokoje, zawołał na żonę i córki, było pusto. Wraz z niepokojem, rósł w nim gniew, był przy tym głodny. Przypomniawszy sobie o obiedzie, ruszył do kuchni.

— Pouciekali wszyscy? A może przelękli się ognia i zeszli do piwnic?

— Mój Boże, to pan sędzia? — usłyszał z kąta głos Walerci — a ja już myślałam, że jaki bolszewik.

— Gdzie jest pani i dzieci?

— Może się pochowali, nie wiedziałam, zamknęłam się w kuchni, bo pan sędzia nawet nie wie co się tu stało?

Ostre przeczucie nieszczęścia przeniknęło mu wnętrzności.

— No więc co się stało? Niechże Walercia mówi!

— Dzieci poszły zanieść obiad księdzu, ja za nimi... Młode to, głupie, bez pukania drzwi otwarły, a tam ksiądz całuje się z panią Wacławą... Papierosy mieli w zębach i całowali się jak wariaty.

— Co za brednie Walercia opowiada, jak mieli papierosy, to by sobie oczy powypalali!

— A bo pan sędzia łapie za słowa...

— Coś wam się zwidziało.

— Czemu jakeśmy drzwi otwarli, to stali jak dzikie?

— Zastanówcie się: wojna, ludzie giną, a wy tylko plotki, jęzor taki długi — rozłożył ręce.

— Ja tam nie rozgłaszam! Ja tylko panu pod sekretem...

— Niech Walercia słucha. Wieczorem zejdziemy do piwnic i trzeba będzie tę broń usunąć. Teraz już się na nic nie przyda, bo nocą powinni tu być Rosjanie. Jakby znaleźli, gotowi pomyśleć, że to przeciw nim się gromadzi...

— Tylko gdzie się broń wyniesie?

— Nigdzie, po prostu wrzucimy do zalanych piwnic. We dwójkę damy sobie chyba radę?

— Pewnie, że damy... Aż mi kamień z serca spadł, cały czas się zamartwiałam, że pan sędzia powstanie szykuje.

— Niech Walercia teraz o obiedzie dla mnie pomyśli.

— Obiad dawno gotowy, tylko pani kazała na pana czekać.

— To proszę podawać, jak zadzwonię. Muszę najpierw panią znaleźć.

— Może poszła do sierotek, bo Celinka na nic nie ma czasu, a panny Łucji też długo nie widać.

— Wrócą, wrócą, nie ma strachu. Jan się nie będzie pod kule pchał. Najwyżej poczekają do wieczora.

Jakże szybko gasło tego dnia słońce. Złota chmura mżyła jeszcze odblaskiem, a w dolinie już niebieskawy dym. Armaty ucichły, strzały karabinowe odzywały się z rzadka. Na żółty szczyt Kułaka ściągały wrony, sadowiły się z krakaniem... do snu.

Niedawno dzieci skończyły obiad, a już senne z zapadającym zmierzchem zaczynają marudzić. Pod sufitem czerwonawymi krążkami błyszczą zapalone lampy, ostatnie światło dnia wpada oknami, a już noc ucisza gwar w salach lewego skrzydła.

Ksiądz Horbaczewski, który dotąd siedział przy dzieciach, wychodzi na podwórze. Oddycha głęboko. Wiatr nad kominem przechyla dym bijący z kuchni. Wiatr jest zachodni, na zmianę. Czasami daleko za górą trzaśnie strzał, jakbyś gałąź na kolanie złamał. Noc jest tak szybka, że wszedł pod szopę jeszcze za dnia, ale już musiał sobie zapalniczką przyświecać, żeby znaleźć kilof i łopatę. Gdy zaszedł na upatrzone miejsce i odkuł rowek wyznaczający grób, zrobiło się zupełnie ciemno. Tym spokojniej się poruszał

Postanowił sam pogrzebać zabitego. Pierwsze uderzenia kilofa sprawiły mu fizyczną radość. Czuł, że się będzie mógł pomocować ze zmarzniętą calizną, pragnienie jakiegoś zadośćuczynienia łączyło się z nadzieją zmęczenia, za którym czekał sen długi i posilający.

Ksiądz sypiał ostatnio źle, często po godzinie budził się i z otwartymi oczami leżał w ciemności. Noc szumiała przy uchu, jak muszla.

Zaczynało się pełne napięcia oczekiwanie na świt. Ksiądz wstawał, podnosił zasłonę w oknie, spoglądał na niebo zawalone bryłami ciężkich chmur, przez które jasną plamą majaczył księżyc. Do rana było dalej, niż przeżyć całe życie. Nachodziło go ono w takie noce, wiele razy musiał rozważać swe czyny, wybierać drogi, decydować w sprawach dawno przebrzmiałych, a jednak taką godziną dopominających się natarczywie rewizji.

Ksiądz nigdy nie kopał grobu, ale pamiętał grabarzy, jak sprawnie z każdym sztychem łopaty, wstępowali w ziemię. Nie liczył się z darnią zeskorupiałą od mrozu. Ziemia dźwięczała pod razami kilofa. Okruchy pryskały mu na twarz. Kuł na ślepo, ale gdy spróbował zebrać łopatą, niewiele było do zgarnięcia. Stylisko oddawało, aż drętwiały palce. Czuł teraz, że chyba nie da rady, bo już grzbiet mu zwilgotniał.

Czasami ponad lasem wyskakiwały rakiety i kapały świecącymi łzami w gałęzie drzew. Chybotliwe światła wznosiły się i gasły. Wtedy nasłuchiwał, ale cisza była zupełna.

✤

Tadek Bukowski przykucnął nad rozłożoną bronią. W świetle latarni lśniły zamki karabinów, było ich sporo. Stały rzędem oparte o mur piwnicy. Na szmacie czarnej od oliwy leżały rewolwery. Rozpłomieniona Celinka odgarnęła wierzchem dłoni włosy zwisające jej z czoła.

— Gotowe, ten mały pistolecik biorę ze sobą, bo potem będą mi żałować...

— A umiesz się z nim obchodzić? Daj to ci pokażę, widzisz tak wprowadzasz kulę do lufy, a tu jest bezpiecznik. Teraz już możesz walić, tylko nie zamykaj przy tym oczu!

— Nie bój się, jak będę chciała trafić, to już trafię!

— To kaliber 6,35, dobry na muchy i amunicję trudno do niego znaleźć.

— A jakbym całkiem z bliska?

— Myślę, że tak, ale lepiej w skroń... No, tylko bądź ostrożna.

— Tadek, która godzina? — przestraszyła się nagle — Muszę lecieć zobaczyć, co się z dziećmi dzieje!

— Już po czwartej.

— Ależ czas leci... Może już Łucja wróciła?

— Chyba dziś nie wróci.

— Znowu ze mną zaczynasz? Co ty do niej czujesz?

— Szacunek. A tyś myślała, że co? Po prostu mogą jej Niemcy z miasta nie wypuścić, przecież obstawią przedmieścia i będą próbowali obrony, jeśli nawet tutaj, w takiej dziurze się biją!

— Tadziu, chodźmy już!

— Pięknie wygląda ten arsenalik, jest coś wzruszającego w broni gotowej do wydania. Ciekawym jakeście do niej doszli?

— Dużo kupiliśmy od Niemców, część jest zdobyczna, zasługa Batoga, dwa lata partyzantki, wreszcie doczekał się!

— Mógłbym tu cały dzień siedzieć — westchnął. — Z tym już można się porwać na porządną robotę!

Grube, załamane cienie przesunęły się po suficie. Zatoczyli beczkę i umocowali cegłami.

— Celinko — szepnął czule — a może znajdziesz teraz chwilkę dla mnie?

(Dalszy ciąg nastąpi)

SZTUKA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

Styl realistyczny w ilustracjach dla dzieci

Światy groteskowej i bajkowej rzeczywistości (o których była mowa w poprzednich artykułach — przyp. red.) mogą istnieć tylko **przy** świecie realnym i **obok** tej solidnej i podstawowej rzeczywistości, od której we wszystkich naszych praktycznych poczynaniach jesteśmy zależni.

Nie sądźmy, że dzieci pozbawione są zmysłu rzeczywistości. Gdy tylko zaczynają dochodzić do możności rozeznawania i odróżniania prawdy i fikcji, realności i ułudy, tego co jest realne, a tym samym także w swym charakterze i w swym stylu jedynie rzeczywiste, od tego co jest mniej lub więcej pięknie zmienione — wtedy zainteresowanie dla realnych faktów zaczyna górować nad wszystkim innym. Rzeczywistość realna ma również swój własny smak i powab artystyczny i ona także zdolna jest nas oczarowywać w ten sam istotny sposób — chociaż inaczej niż bajka.

Niewątpliwie istnieje poezja rzeczywistości i poezja realizmu o czerstwym, zdrowym smaku chleba codziennego, a nie tylko poezja bajki, poezja rzeczy kolorowych i przezroczystych jak bańki mydlane.

„Jeszcze wszyscy mówią o nas dzieci
jesteśmy bowiem mali i mało mamy lat,
ale już rozumiemy wiele dużych rzeczy,
że życie bywa ciężkie, że praca dźwiga świat,
a my rośniemy po to, by nowy tworzyć ład).*

Ilustracje do tego — jednego z najpiękniejszych wierszy dla dzieci nie mogły być inne, jak wyraźnie realistyczne. Zdarzenia ze świata tej książki są bowiem realne jak kamienie, którymi są wybrukowane ulice wielkiego miasta fabrycznego i jak zdarte buty robotnika, który po nich chodzi i jak krwią rzeczywistą ciepłe serca matek i ojców, żyjących znękaniem dnia codziennego i małym wytchnieniem niedzieli — dla swych dzieci. W tej książce dziecko wpatruje się w rzeczywistość życia swoich rodziców, groźnie przez nadmierny ciężar pracy przytłoczoną.

Ale ten szary, bezsłoneczny, skamieniały świat jest równocześnie światem pracy twórczej i jedynie życiodajnej i taka właśnie jego realność stwarza istotę jego poezji, w której rysują się trzeźwo — rzeczywiste, a zarazem jakby posągowe postaci ojców i matek „Dzieci miasta".

Nie twierdzę, że ilustracje do tej książki (Juliusza Krajewskiego) są dostatecznie dobrymi ilustracjami, tymi, jakie właśnie do tych doskonałych tekstów trzeba było stworzyć**)

Ze względów technicznych ilustracji Juliusza Krajewskiego zamieścić nie możemy. Sądzę jednak, że rycina do wiersza „Matka" stwarza dobrą — mimo że jaskrawo realistyczną — paralelę do tego, co tekst wyczarował nie mniej realistycznie, a jednak artystycznie i po ludzku bardzo głęboko. Jako utworowi kunsztu graficznego można by tej rycinie niejedno zarzucić. Sam w sobie poza tekstem wiersza, obrazek ten nie wytwarza przeżycia w pełni zadowalającego i artystycznie—nawet w swym realizmie — przekonywającego Ale w czasie czytania wiersza przenosimy na tę rycinę wzniosłe piękno poezji poświęcenia, niekłamaną prawdę artystycznego wyrazu i wielkie ciepło miłości matczynej.

Tekst Szelburg-Zarembiny jest w najlepszym tego słowa znaczeniu **realistyczną poezją.** Do tej książki dla dzieci mógłby a nawet powinien stworzyć ilustracje jakiś artysta-grafik wielkiej miary, np. Kulisiewicz.

Realizm artystyczny — zarówno w literaturze jak w grafice — nie na tym w swej istocie polega, by wszystko zostało odtworzone jak na fotografii (lub filmie) rzeczywistego zdarzenia. Realizm artystyczny sięga po istotę rzeczy, ocenia wartość realnych faktów, wyodrębnia charakterystyczne cechy ściśle zaobserwowanych zjawisk i z tego wszystkiego buduje utwór sztuki. Sztuka realistyczna nie rejestruje automatycznie i nie po to tylko studiuje naturę, by ją w rezultacie mechanicznie skopiować. Ideałem sztuki realistycznej — a ma ona swój ideał na równi z innymi kierunkami sztuki — jest obraz życia, który by był jak najbardziej prawdziwym życiem — a nie mniej lub więcej „upiększonym" jego szablonem.

Stefan Szuman

*) Ewa Szelburg-Zarembina „Dzieci miasta" — wiersz: „My".

**) Niestety ilustracji w dobrym sensie realistycznych nie znalazłem. Spotykane bowiem często w książkach ilustracje naturalistyczne — zwykle nie są artystyczne.

Wychowanie dziecka poprzez sztukę

(Uwagi na marginesie międzynarodowego kongresu pedagogicznego, który pod nazwą „Tygodnia Studiów nad Dzieckiem" — Ofiarą Wojny", (skrót francuski SEPEG) odbył się w dniach 23 — 28.V. br. w Otwocku i w Warszawie).

Ostatni dzień SEPEG-u był poświęcony sprawie oddziaływania na dziecko za pomocą sztuki.

Od teoretycznych rozważań nad wpływami wojny na psychikę dziecka i nad środkami zaradczymi przeciwko szkodliwości tych wpływów przeszli uczestnicy Kongresu do nowoczesnej praktyki pedagogicznej w zakresie sztuki, ściślej: do wychowania dziecka przez książkę i teatr.

W artykule omówimy bliżej zagadnienie teatru dla dzieci, który reprezentowany był na Kongresie przez „Teatr Dzieci Warszawy".

„Teatr Dzieci Warszawy" dał SEPEG-owi przekrój tego, do czego dążyć się powinno w zakresie działania wychowawczego teatru dla dzieci. Chociaż — może ściślej należało by powiedzieć do czego dąży się w wychowaniu w ogóle.

Bo przecież na tym polega podejście wychowawcze do dziecka, żeby dać mu taki zespół bodźców działających na psychikę, które — właśnie w zespole, właśnie przez swą wyrazistość, przez swe odpowiednie akcenty, właśnie przez swą atrakcyjność — oddziałałyby pomyślnie i zgodnie z potrzebami rozwojowymi danej psychiki. Teatr jest jakby doprowadzeniem do maksimum tej ogólnej zasady twórczości wychowawczej — jej artystyczną krystalizacją.

Widowisko „Pan Tom buduje dom" wg Themersona, w opracowaniu Stanisława Średnickiego i Ireny Skowronkówny, pokazane uczestnikom Kongresu, wyjątkowo się nadaje, by nim zilustrować tę naczelną zasadę wszelkiej pedagogiki, a pedagogiki teatralnej w szczególności. Jest to zasada integralności bodźców wychowawczych, która ma dwa oblicza: jedno — integralności przedmiotu, o którego przedstawienie chodzi, drugie — integralności środków tego przedstawienia.

Integralność przedstawienia przedmiotu (zwanego popularnie treścią) w widowisku „Pan Tom buduje dom" polega na tym, że różne sprawy: uczuciowo-rodzinne, sprawy kłopotów zewnętrznych i wspomnień wojennych — zostały jakby prześwietlone zagadnieniem pracy, zagadnieniem mieniącym się różnymi aspektami: moralnymi, społecznymi, i czysto technicznymi. Są one jednocześnie odpowiedzią na zainteresowania — tak żywe u dzieci — z czego, jak i kto co robi i dlaczego robi to tak a nie inaczej. Jednym słowem widowisko to wprowadza dzieci w uwyraźniony — jak każdy model — przekrój życia, które tam, poza teatrem, w życiu codziennym, jest skomplikowane, splątane w jeden kłąb doznań, a tu, na scenie, w tym małym modelu życia, ukazuje się jako bogactwo uporządkowane, jako harmonijna, zdrowa, sensowna jedność. Tę prawdziwie artystyczną transpozycję życia na język sztuki zawdzięczamy autorom scenariusza, którzy opracowując tekst pokazali, że wartość artystyczna zbiega się z tym, co należy do rzędu zjawisk moralnych.

Fakt poszukiwania przez pana Toma wyjścia z trudnej sytuacji mieszkaniowej, w którą go wpędziły warunki wojenne, jest w sztuce sposobnością do zawarcia życzliwych stosunków z p. Rożkiem, murarzem, a z tej przyjaźni wyrasta umowa — zupełnie „życiowo" zapobiegająca złu, a potem stopniowa realizacja projektu. To jest więcej niż bieg akcji (choć żywy bieg akcji istnieje): to jest opalizowanie tej samej sytuacji życiowej różnymi aspektami: „chwyt" wychowawczy niezwykle cenny, zwłaszcza jeśli chodzi o rozładowanie kompleksów wytworzonych przez wojnę i wyprostowanie spowodowanych przez nią deformacji psychicznych. Wszelkie stadia realizacji tej przyjacielskiej umowy, opartej na wymianie usług (wybieranie i projektowanie domku przez architekta i wykonywanie go), to sposobność umiejętnie przez teatr podchwycona i wykorzystana, ujmowania każdego fragmentu na podobieństwo syntetycznego obrazka dziecinnego, gdzie wszystko, co się wie o danej rzeczy, naraz jest uwidocznione. Ta sama np. praca robotników, budujących dom jednocześnie mieni się podawanymi na wesoło technicznymi wiadomościami o samej budowie, a jednocześnie otacza ją atmosfera szacunku dla pracy i zrozumienia ważności wspólnego zadania.

„Budować dom! — śpiewają robotnicy — wzruszają nas te słowa.
Zapał do pracy tętni w naszej krwi.
Złączyła nas potrzeba jednakowa.
Oto jesteśmy ja: i on i ty i ty".

I znów jednocześnie tętni wszystko rytmem apoteozy dobrej, rzetelnej pracy i zadowolenia, dumy stąd płynącej („powiem cztery mądre słowa — mówi jeden z robotników — jak malować, to malować!"). A nad wszystkim unosi się urok serdecznego uczucia i wdzięczności za tę pracę poprzez stworzoną przez Jana Wesołowskiego niezapomnianą sugestywną sylwetkę Pana Toma.

Naturalnie, że podanie różnych aspektów zagadnienia podstawowego, jakim tu jest zagadnienie pracy — aspektów moralnych, społecznych, osobistych, fachowych — w jednej ekspozycji syntetycznej musi pociągać za sobą niezwykle staranny dobór tych cech, które dane aspekty mają reprezentować. I z tego zadania „Teatr Dzieci Warszawy" ciekawie się wywiązał, nie sposób jednak w te szczegóły tu wchodzić.

Jak już było mówione, ukazanie dzieciom różnych stron podstawowego zagadnienia jest tu mocno oparte — i na tym znów polega wielka wartość tego widowiska — o fundament zainteresowań typowych dla dzieci (np. różne rodzaje domów w zależności od potrzeb mieszkańców, urządzenia wodociągowe itd.). Są to zainteresowania, znajdujące tu barwną odpowiedź w świeżym, dalekim od dydaktyzmu, pociągającym ujęciu, z którego każde dziecko, na każdym poziomie, będzie mogło sobie wziąć to, co jest mu najpotrzebniejsze i na co je będzie stać. To obliczanie zainteresowań na wyrost jest również jedną z ciekawych realizacji dezyderatów nowoczesnej pedagogiki, dokonanych przez teatr.

Tak się przedstawia w zarysach to, co dotyczy integralności samej tzw. „treści" przedstawienia, **jego przedmiotu.**

Druga dziedzina integralności bodźców wychowawczych, którymi operuje teatr dla dzieci, jest to całościowość **środków wyrazu.**

Bo połączenie — w tej jedynej w swoim rodzaju twórczości artystycznej, jaką jest teatr — wszelkich środków ekspresji: słowa, dźwięku, linii, barwy, światła, ruchu, różnych form rytmu, — to połączenie, które sprawia, że każdy z poszczególnych środków ekspresji jest podkreślony i zwielokrotniony w swej mocy wyrazu przez innego rzędu środki ekspresji — to właśnie zostało w „Teatrze Dzieci Warszawy" z całą świadomością swych celów oddane na potrzeby dzieci, dzięki uderzającej swym poziomem reżyserii dyrektorki Teatru Klimy Krymkowej.

Np. scena projektowania domu przez architekta, w której atmosferę twórczej pracy myślowej wyrażają takie środki ekspresji, jak przeskoki oświetleniowe — coś jak błysk rodzącego się pomysłu — podkreślone, uzupełnione, niejako ilustrowane dźwiękami muzycznymi, lub jak mocno stylizowane, pełne wewnętrznego, zaczajonego, wybuchającego dynamizmu gesty architekta, wreszcie kontrastujące z tym ściszone gesty konferansjerki, nakazującej otoczeniu milczenie wobec dokonywającego się wysiłku — oto jeden z licznych przykładów tej świetnej integralności środków ekspresji „Teatru Dzieci Warszawy", integralności, która w tym widowisku znalazła swój mocny wyraz — tym mocniejszy, że piękny, co już samo przez się stanowi walor wychowawczy.

Można by powiedzieć, że to działanie wielu naraz środkami artystycznymi jest charakterystyczne dla wielkiej twórczości teatralnej— dobrej czy złej To jest prawda, ale prawda tylko powierzchowna, formalna. Zagadnienie to sięga głębiej. W przedstawieniu „Pan Tom buduje dom" przeżywamy współgranie zespołu środków artystycznych w scenie tylko co omawianej, odtwarzającej pełną tajemniczego dynamizmu pracę projektowania domu. Przeżywamy inną scenę, scenę kontrastowo różną, choć również podaną techniką zespołowego współdziałania bodźców: scenę wspólnej pracy robotników budujących pod szerokim niebem jasny dom. Jest to praca unormowana w swym rozłożeniu odpowiedzialności, praca pełna pogody wskutek natychmiastowego oglądania jej rezultatów. Przeżywając to wszystko rozumiemy, że nie chodzi tu o proste formalne dodawanie takich czy innych „efektów" (trochę mówienia, trochę piosenki, trochę tańca, trochę efektów plastycznych), ale o taki wybór, takie natężenie, takie współbrzmienie, takie wzajemne uzupełnianie się, kontrastowanie czynników ekspresji, by całość stanowiła zwartą jedność wyrazu, jednolite syntetyczne ujęcie danego przedmiotu — przez jeden akt twórczy i jednolite syntetyczne doznanie artystyczne od strony widza. Coś jakby zmaterializowana, na język zmysłów przełożona, atmosfera danej sytuacji.

Ta normalna w teatrze dla dorosłych zasada twórczości, w teatrze dla dzieci nabiera szczególnego znaczenia, ponieważ ona właśnie leży u podstawy nowoczesnego wychowania — jako swojego rodzaju twórczości artystycznej. Jest to wychowanie, które nie chce posługiwać się dawnymi, negatywnymi metodami „nękania" dzieci zakazami i nakazami, przeskakującymi od przypadku do przypadku. Pozytywna i całościowa budowa człowieka w radości, zaciekawieniu, życzliwości hojnego daru z tego wszystkiego naraz, co z bogactwa życia dorosły jest w stanie dziecku dać z siebie najlepszego— jest istotą nowoczesnego podejścia do zagadnień wychowania, podejścia, które nam unaocznił „Teatr Dzieci Warszawy" swym pięknym widowiskiem.

Referat dyr. Klimy Krymkowej, będący teoretycznym dopełnieniem pokazywanego widowiska, wprowadził widzów kongresowych do warsztatu pracy „Teatru" i ukazał im, na jak solidnej podstawie badawczej opiera się praca całego zespołu artystyczno - pedagogicznego. Istnieje bowiem przy „Teatrze" Sekcja Badawcza pod kierunkiem Marii Parnowskiej, której zadaniem jest naukowa obserwacja potrzeb dziecka jako widza, a z drugiej — badanie środków, jakimi rozporządza teatr, by tym zapotrzebowaniom zadośćuczynić. A więc sekcja przeprowadza m. i. badania psychologiczne nad upodobaniami i kryteriami dziecka, jego reakcjami na humor, nad wpływem widowisk na życie itd., normuje — według zbadanych możliwości apercepcyjnych dziecka — stopień zawikłania akcji, stopień trudności, symbolów dekoracyjnych, rozważa z tego punktu widzenia różne posunięcia reżyserskie, rozpatruje wartości pedagogiczne.

Wprowadzenie Kongresu, który się zebrał dla studiowania zagadnień dziecka — ofiary wojny, w technikę wychowawczą, stosowaną u nas w dziedzinie działania przez sztukę, było bardzo udałym finałem SEPEG-u, ponieważ uczestnicy jego zobaczyli, że wśród różnych dziedzin odbudowy, ten nasz dom, który w dziecku buduje w imieniu sztuki „Pan Tom", zapowiada się dobrze.

Janina Doroszewska

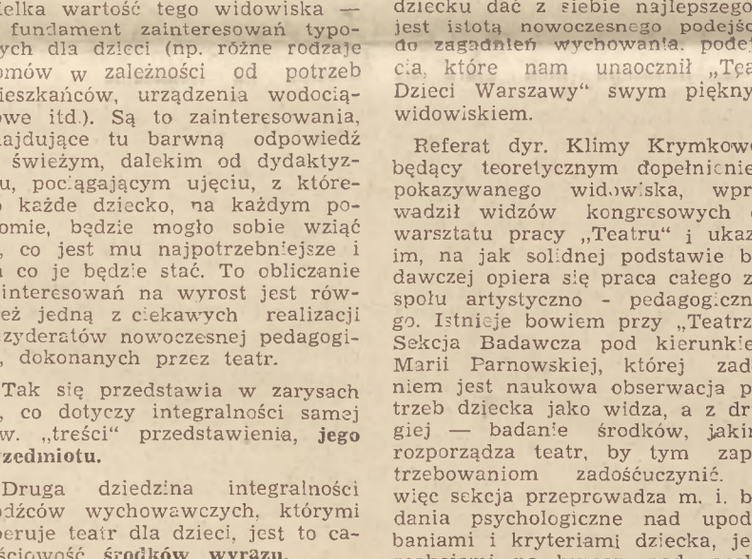

Pan Tom ogląda u architekta modele domów

Tadeusz Kulisiewicz **Rysunek**

W krzywym zwierciadle

W środowisku nie stykającym się z zawodową książką spotykamy często lekceważący stosunek do beletrystyki. Szanując książkę naukową, „która coś daje, z której się można czegoś dowiedzieć", czytelnicy lekceważą powieść, przyznając jej zaledwie rolę rozrywki. Olbrzymie znaczenie wychowawcze powieści przechodzi niezauważone, kształtując jednakże charaktery i umysły nieświadomych czytelników.

Lekceważenie, obejmujące powieść dla dorosłych, dotyczy jeszcze w większym stopniu twórczości dla dzieci i młodzieży. Duża część rodziców wymaga od książki dla młodzieży tylko tyle, „żeby w niej nic takiego nie było", rozumiejąc przez to niewyraźne określenie — pierwiastek erotyczny. Innym objawem lekceważenia książki młodzieżowej będzie niedocenianie wpływu złej literatury, wyrażające się najczęściej w słowach: „Ja też czytałem tę książkę i nic mi się nie stało".

Tak jak jedna jaskółka nie czyni wiosny, tak jedna książka, nawet najgorsza, nie wywiera druzgocącego wpływu na czytelnika. Niebezpieczny jest wpływ pewnego typu książek czytanych stale oraz w dużej ilości, masowo. Toteż nie z poszczególnymi książkami i autorami próbujemy walczyć, ale z typami książek. Zbyt mało doceniamy wpływ lektury na usposobienie i upodobania młodego czytelnika, na marzenia o przyszłości, na stosunek do środowiska, ba, nawet na kształtowanie ideałów życiowych i wybór przyjaciół i zawodu.

Wśród książek zdyskwalifikowanych spotykamy książki nudne i książki zajmujące. Przechodząc do analizy książek, ilustrujących podjęte tu zagadnienie, automatycznie odrzucamy książkę nudną, jako nie wywierającą żadnego wpływu na czytelnika. Jednym z czynników decydujących o wyborze książek jako przykładów w tym artykule będzie ich niewątpliwa atrakcyjność. Drugim—obecność niektórych najbardziej typowych tematów i ważkich zagadnień oraz charakterystyczny sposób ich oświetlenia. Analizując niektóre pozycje, możemy śledzić deformację, jakiej ulegają zarówno tematyka, spotykana również w książkach dobrych, jak i zagadniania etyczne oraz działanie ich w spaczonej formie na czytelników. Na ogół przyzwyczailiśmy się uważać książkę złą za pozbawioną w ogóle zagadnień etycznych, albo za wręcz niemoralną. Tak bywa z książkami dla dorosłych, gdzie ten rodzaj literatury, mający na celu dostarczenie rozrywki czytelnikowi, nie ma przynajmniej pretensji do poruszania poważniejszych zagadnień. Inaczej dzieje się z książkami dla młodzieży. Tu prawie każdemu z autorów zdaje się, że ma coś czytelnikowi do powiedzenia i wszelkimi sposobami próbuje umocnić go w wierze, miłości ojczyzny, natchnąć szacunkiem dla rodziców i wychowawców lub wzbudzić chęć do pracy. Ale, podobnie jak w diabelskim zwierciadle z baśni Andersena, i tu wszystko ulega spaczeniu: szowinizm zastępuje patriotyzm, dewocja — ducha wiary, filantropia, kult pieniądza i dobrego urodzenia — zagadnienia społeczne!

Motyw patriotyczny jest bardzo trudny do przeprowadzenia: jak każde uczucie bardzo silne z łatwością przekracza granice i nabiera cech fanatyzmu. Wtedy uczuć patriotycznych nie mierzy się napięciem miłości do kraju, ale siłą nienawiści do wroga. Człowieczeństwo staje się wyrazem prawie obelżywym, oznaczającym zgubną miękkość serca i obojętność na sprawy państwa, jak gdyby te dwa pojęcia: ludzkość i ojczyzna nie mogły się pomieścić razem w jednym sercu.

Szowinista nie dba o bezwzględną sprawiedliwość. Jego usprawiedliwieniem jest dobro kraju, a czy mu służy, broniąc własnych granic, czy też przekraczając cudze — jest w jego mniemaniu sprawą bez znaczenia.

Używanie wielkich słów i przemycanie sensacji pod płaszczykiem haseł patriotycznych, to często cecha książek dla młodzieży. Nuta patriotyczna w powieściach sensacyjnych ma swoją przyczynę w wstydliwym stosunku autorów młodzieżowych do powieści sensacyjnej. Moment sensacyjny jest uważany za niegodny dziennego światła i kryje się pod płaszczykiem wielkich słów. Wymawianie słowa „Polska" przy każdej okazji jest pewnego rodzaju nadużyciem, a jednocześnie osłabia reakcję czytelnika: gdy ktoś zbyt często uderza w wielki dzwon, zmienia go wreszcie w pozytywkę. Stałe łączenie momentów patriotycznych z sensacyjnymi kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo: czytelnik karmiony systematycznie taką papką w końcu uwierzy, że służba dla ojczyzny musi zawierać nadzwyczajne przygody i może nie znajdzie miejsca dla uczuć patriotycznych w spokojnym uregulowanym życiu, a natomiast utożsami z nimi pragnienie wrażeń. Znamy przecież z niedawnego doświadczenia rolę, jaką odegrała Wielka Przygoda w wojnie i konspiracji.

Widzimy więc, jak w krzywym zwierciadle literatury wielkie uczucia zamieniły się w głód przygód. Patrzmy dalej. Rodzaj książek, o których wspominałam, jest ulubioną lekturą chłopców, przyjrzyjmy się teraz lekturze dziewcząt, ukochanym książkom o pensjonarkach, zastanówmy się, jakich poszukują tam wrażeń i ideałów.

Weźmy pierwszą lepszą książkę Czarskiej „Dorotkę", w której treścią jest życie ubogich dziewcząt w „rzemieślniczym przytułku" (określenie autorki). Do zakładu przybywa nowa wychowanka, Janka, przybrana córka generała, skrzywdzona po jego śmierci przez spadkobierców. „Ta, co do nas wstępuje, to prawdziwa panienka, nie jakaś biedna sierotka.. nosi suknię z najcieńszej wełny skrojoną zupełnie jak z żurnala... a na nogach ma jedwabne pończochy i do tego z prawdziwymi strzałkami".

Te słowa bezkrytycznego zachwytu nie są tylko jednym ze sposobów odmalowania środowiska, ale także wyrazem przekonań autorki, w mniemaniu której bogactwo jest pewnego rodzaju zasługą jednostki posiadającej, z prawem do uprzywilejowanego miejsca w społeczeństwie.

Autorka podział społeczeństwa na bogatych i ubogich, pracujących i próżniaków, uważa za zupełnie naturalny i nie wymagający reformy. W jej mniemaniu członkowie każdej z tych warstw są stworzeni do zupełnie innego życia. Ludzie, którzy interesują się Janką, mało współczują jej sierocturwu i opuszczeniu: uderza ich przede wszystkim inna strona dramatu. „Dziewczyna wychowana w dostatku i zbytku zostaje nagle wychowanką przytułku!".

Nieprzeparty urok bogactwa znajduje swój wyraz w niezmiernym współczuciu dla zubożałego bogacza i w zupełnej obojętności wobec losu nędzarza od urodzenia „przyzwyczajonego do biedy"..

Jednak jako oddzielny cel życia — zdobycie majątku występuje dość rzadko. Bogactwo zazwyczaj zjawia się jako czynnik towarzyszący pozyskaniu sławy, przy zawarciu małżeństwa i przy wyświetleniu tajemnicy urodzenia. Prawie wszystkie bohaterki powieści dla panienek wychodzą „dobrze" za mąż, nawet idealna Reginka z powieści Porawskiej poprawia przez małżeństwo swoje położenie materialne, nawet „Złota Elżunia" zaślubia pana na lasach, borach itd. Nie przypominam sobie również powieści, w której odzyskanie rodziny nie łączy się z awansem społecznym. Apoteozie bogactwa towarzyszy kult pochodzenia. Tajemnicza Krysia—bajczarka z „Wsi Szczęśliwej" Buyno - Arctowej różni się bardzo i góruje nad swoim wiejskim otoczeniem; Rysiek z Belmontu, przybrany syn kucharki, w rzeczywistości siostrzeniec wysokiego urzędnika z MSZ „jest taki... nie z kuchni..." Zdobycie lub utrata bogactwa ma często charakter nagrody lub kary, podobnie jak to w baśni bywa, źli tracą skarby, dobrzy je otrzymują. Mimo pięknych słów, że „prawdziwym bogactwem jest czyste sumienie i pożytecznie spędzone życie", autorzy nie mają odwagi nagrodzić swoich bohaterów tylko moralnym zadowoleniem i ku satysfakcji czytelnika obdarzają ich prawdziwym bogactwem nie tylko w idealnym znaczeniu tego słowa.

Śledząc rozwój i przekazywanie młodzieży niektórych ideałów i celów życiowych obok pragnienia sławy i apoteozy bogactwa wymieniliśmy jeszcze miłość. To kapitalne zagadnienie, zarówno pod względem wychowawczym, jak i z uwagi na jego znaczenie, jako wątku powieściowego — wymaga osobnego omówienia.

Stefania Wortman

Dramat niespełnionych powinności

Państwowy Teatr Polski — „Odwety" sztuka w 3 aktach **Leona Kruczkowskiego.** Reżyseria: **Mariana Wyrzykowskiego.** Dekoracje: **Zofii Węgierkowej.**

Wiosna 1946. Sytuacja przed referendum — nasilenie walki podziemnej. Panowie z podziemia „mają niewiele czasu", przeto krwawa statystyka mordów kapturowych staje do wyścigu ze statystyką odbudowy kraju... Były pułkownik Okulicz, obecnie urzędnik kasy komunalnej, odbywa podejrzane konferencje z wszelakimi „Romanami" i zakupuje większe ilości papieru na nielegalną bibułę propagandową. Papieru dostarczy przyjaciel Lemański, warszawski kombinator, obecnie przedstawiciel inicjatywy prywatnej w prowincjonalnym mieście. Lemańscy, chociaż należą do lepszych czasów, jakoś się przystosowali: — hurtownia papieru, willa, antyki, dolary jakoś się żyje. Parę ton papieru na lewo „dla Sprawy", dyskretne deklaracje ideowe, gościnny dach nad głową dla Okuliczów, wreszcie czułostkowy szczebiot pani Lemańskiej, to okup czystego sumienia nieskazitelnych reakcjonistów. Poza tym — należy być ostrożnym...

Okulicz nie jest ostrożny. Nie szczędzi siebie, a zwłaszcza nie szczędzi syna. Już prawie dziesiąta wieczór, a Julka nie ma, choć to dzisiaj jego urodziny. Pani Sabina drży z niepokoju, podejrzewa, że to sprawka męża; nieraz tak było. Sanacyjny Kato już podczas powstania pchał syna w objęcia śmierci. Atmosfera terroru panuje w tym dusznym domu. W powietrzu wiszą najgorsze słowa, jakieś zadawnione porachunki czekają na rozładowanie. Tylko córka Okuliczów, Matylda, potrafiła znaleźć dla siebie furtkę z tego zaduchu. Matylda w powstaniu walczyła nie gorzej od ojca i brata, ale po powrocie z obozu stanęła do pracy w gimnazjum, którego dyrektorem jest Stefan Jagmin, stary, bojowy komunista. Choć elegancka willa przesiąknięta jest zapachem kwitnących za oknem drzew, Matylda nie ukrywa nawet przed ojcem, że tam, w szkole, a nie w domu, odnajduje powiew życia. Doskonale pomyślany akt pierwszy.

Jest blisko dziesiąta wieczór. Po krótkiej pogawędce z nieokreślonym bliżej towarzyszem partyjnym dyrektor Jagmin zostaje sam. Kontempluje jakąś fotografię, gdy przez uchylone drzwi wkrada się szczeniak z pistoletem. „W imieniu organizacji"... itd.. — jedynie przypadkowy telefon, który szarpnął nerwami chłopca, pozwolił Jagminowi wyłuskać broń z ręki „wykonawcy wyroku". W dyrektorze zagrał teraz społecznik i pedagog. — Czemuś chciał mnie zabić? Czy i jak rozumiesz sytuację, w której uczciwy człowiek przychodzi do innego uczciwego człowieka ze śmiercią jako jedynym argumentem? Przewaga mężczyzny, bojowca, społecznika i wytrawnego humanisty nad roztrzęsionym młodzieńcem jest wielka, ale decydujący jest fakt nieoddania zamachowca władzom: — oto powstaje romantyczna atmosfera pojedynku dwóch duchów! Czegóż więcej trzeba uczniakowi, który pewnie pisze na piątkę wypracowania z literatury romantycznej. Julek odkrywa wszystkie karty i widzimy, że Jagmin... ach, już się domyślamy — Jagmin kiedyś kochał się w pani Sabinie. I teraz — jej syn!... Uratować dziecko ukochanej kobiety!

Otóż jest nie tak. Zjawia się siostra Julka, Matylda, spostrzega tamtą fotografię, sytuacja się wyjaśnia: — Julek jest synem dyrektora. Chłopak, który to wszystko podsłuchał, łapie pistolet i z okrzykiem: „Pan mnie oszukał!" — wybiega i strzela do siebie.

Chcemy powtórzyć ten okrzyk. — Już Gogol, jeden z największych prekursorów realizmu w teatrze, pisał: „Najważniejsze w melodramatach — nagle czymkolwiek ogłuszyć widza — choćby na chwilę... a tymczasem żadna postać nie budzi współczucia". Jakże nam bliski był dyrektor Jagmin, gdy pochylał się nad swym niedoszłym zabójcą, a my, nieświadomi widzowie, moglibyśmy przypisywać mu pobudki inne, niż są w tekście roli.

Czy bez tej sprawy „lewego" ojcostwa nie było by tytułu sztuki? W akcie trzecim do Okuliczów przychodzi Jagmin i przychodzi oficer milicji. Ten ostatni dowiaduje się niewiele — tylko część prawdy; nie ma odwagi przycisnąć do muru działacza tak zasłużonego jak dyrektor — były żołnierz z brygady Waltera w Hiszpanii, były partyzant francuski... Dzięki temu nie spełni się pierwsza część tradycyjnej narodowej śpiewki „o, rękę karaj, nie ślepy miecz!". Ślepy miecz, Julek, jest w szpitalu i jakoś się wyliże, ale ręka, pułkownik Okulicz, wyjdzie cało z tej willi, zanim go dostrzeże odesłany na facjatkę milicjant. Czemu? Żeby nie wyszło na to, że Jagmin mści się za sprawę osobistą, żeby nie było „prywaty". Jagmin, choć w niezałatwionej sprawie z Sabiną ma okoliczności łagodzące (musiał kryć się i uciekać z kraju!), przecież jest winien. A skoro winien, nie ma prawa sądu nad Okuliczem. — „Takie są moje obyczaje" — powiedziałby upiorek naszej literatury, Przełęcki.

Tak więc ani sentymentalny motyw narodowy brata przeciwko bratu („z dwóch wrogich sobie szańców patrzymy śmierci w twarz"), ani witalistyczny motyw Matyldy („kto za życiem, za wiosną, za odbudową Warszawy, ten głosuje ‚3 razy tak") nie stanowią istotnego problemu „Odwetów". Idea człowieka pełnego, człowieka wiążącego najściślej swe życie osobiste z życiem publicznym, idea odpowiedzialności moralnej, krótko mówiąc — idea humanizmu socjalistycznego dała treść i tytuł sztuce. To jest dramat Jagmina, dramat moralistyczny. Czy jednak został rozwiązany? Czy wystarczy „pożyczka u historii" jaką zaciąga ten żołnierz gen. Waltera, krzycząc za odchodzącym sztabowcem wroga, że mu „historia depce po piętach"? Tyle, jak widzimy, potrafi i Matylda debiutantka historii. A gdy historia odpowie mordem Waltera?

No, więc wszystko się zgadza; tacy, niestety, jesteśmy, Polacy. Taki jest nasz realizm. — Otóż nie, taki realizm zostawmy Sartre'owi. Leon Kruczkowski nie zamierzał, zdaje się, dać studium psychologiczno-moralistycznego. Na to za wiele w jego sztuce rozważań, retoryki. A moralność, etyka, to właśnie rozważania o powinnościach, o n o r m a c h postępowania. Ktoś tu coś jeszcze powinien, nim spadnie kurtyna.

Zdaje się, że to oficer milicji, który przyjeżdża na motocyklu w 3 akcie, powinien stopić się w jedną postać z tym swoim towarzyszem partyjnym, który w drugim akcie odjeżdża na motocyklu. Wtedy mógłby zatelefonować czy papierośnica, pamiątka wspólnych przeżyć z dalekich walk, została na stole, czy też ją wytrząsnął na motocyklu? I mógłby — w imię tych wspólnych właśnie przeżyć — tak potrząsnąć dyrektorem Jagminem, tak wesprzeć starego przyjaciela, tak brutalnie go obudzić, że sztuka moralistyczna znalazłaby właściwe rozwiązanie. Z całym scenicznym powodzeniem mógłby zabrać pół dyskusji Jagmina z Okuliczem dla siebie. Bez niego, kto i kiedy osądzi Jagmina? Ten człowiek nigdy nie zaśnie spokojny. Jest on w niewoli u mar naszej historii i naszej literatury.— W „Romansie z Ojczyzną" Łopalewskiego książę Lubecki też gotów niemal serce otworzyć przed uzbrojonymi, jak to robili nieraz wielmoże nasi przed nikczemniejszą bracią — szlachtą. Ale po tym wzruszającym geście podnosili dumnie czoło i... uzbrojony prostaczek, szanując ród i zasługi, sam się wycofywał na przedpokoje. — Człowiek z motocykla p o w i n i e n mieć więcej decyzji od szofera „demokratki" i rozerwać ten upiorny krąg, na który żalił się jeszcze Wyspiański. Dla moralnego dobra sztuki.

Bo — powtórzmy wyraźnie raz jeszcze — „Odwety" są w zamierzeniu dramatem moralnym. Jeśli wyglądają na coś innego, to z powodu nierozwiązania postawionego problemu, z powodu trzeciego aktu, w którym mamy długi, nużący mecz frazeologiczny Jagmina z Okuliczem. Jedyny moment ostatniej akcji w ciągu tego meczu, to moment, gdy Okulicz, przenosząc konflikt z płaszczyzny politycznej na prywatną — wycygania u Jagmina wolność osobistą: wpędza go w nową, może jeszcze większą winę. (Moment zresztą niezauważony przez reżyserię: po słowach: „A więc jesteśmy skwitowani"—Okulicz powinien wyjąć ręce z kieszeni i pokazać w ten sposób, że on już na pewno strzelać nie będzie, bo już osiągnął swoje!) Poprzestanie na tym obrazku nowej klęski Jagmina nie tylko dyskredytuje jego ostateczne pokrzykiwanki, ale przesuwa sztukę w rodzaj melodramatu. Tymczasem dramat moralistyczny musi mówić wyraźnie albo o tym jak być powinno, albo też — jak być nie powinno. Inaczej wpada z powrotem w mieszczański n a t u r a l i z m, mimo wszystkich pozorów „dramatu idej". A zresztą — ten modny dziś na Zachodzie „dramat idej" (od Shawa do Priestleya i Salacrou), przy wszystkich swych szlachetnych intencjach skazany na sposoby „demoliberalne", także nabiera rumieńców życia, ile razy autorom udaje się wprowadzić do sztuki, jako reprezentantów stanowisk ideowych, ludzi z prawdziwej, życiowej sytuacji. Gdy biografie postaci są ugruntowane mocno w konkretnej rzeczywistości dziejowej, sztuka teatralna przestaje być parlamentem ideowych kukiełek, a staje się dramatem prawdziwym. Bo nie zapominajmy, że człowiek, nie ideologia, nie zdarzenie — stanowi istotę teatru. „Dramat idej" powstaje tam, gdzie postępowa myśl autora nie może lub nie umie znaleźć upostaciowania w realności. Ale „lud myśli postaciami", a teatr jest sztuką ludową. Podpórki frazeologiczne nie uratują błędów w postaciowaniu grzechów wobec realizmu.

Bez Jouveta nie było by zapewne teatru Giraudoux. Bez Niemirowicza — Danczenki. Czechow zrezygnowałby z pisania dla sceny. Wsiewołoda Iwanowa („Pociąg pancerny") i wielu innych zawdzięcza dramaturgia radziecka teatrom, ich kierownikom literackim, reżyserom, zespołom. Nawet na głupim Broadwayu dziesiątki krawców literackich są na usługi wybranego autora. Tylko u nas... Jeden Żeromski miał w teatrze kierownika literackiego w osobie... Osterwy.

Ton, atmosfera sztuki są dobrego gatunku, ambicja literacka wielka i szlachetna, wątek dramatyczny co najmniej godny uwagi, wyraźna zdolność widzenia postaci w ich sytuacji scenicznej — a wreszcie wysokiego gatunku dowcip i humor. Nie widzę też powodu, ażeby „Odwety", zrewidowane i poprawione, nie miały wzruszać widzów w najrozmaitszych teatrach polskich. Może się znajdzie wśród nich choć jeden taki wyjątkowy, taki literacko i reżysersko mocny, że popracuje z autorem nad tą interesującą sztuką?

W przedstawieniu warszawskim najlepsze było to, co się działo za oknem. Kwitnące drzewa wołały o prawach życia niemal jak współuczestnik dramatu, przestrzeń żyła gwizdem lokomotyw i śmiechem dzieci — gdy na scenie odchodził suchy, bezlitośnie pedantyczny i patetyczny ping-pong, jak gdyby to była sztuka Jerzego Zawieyskiego. „Dramat idej" zastawia pułapki na ludzi teatru. Najpierw autor ubiera go w efekty retoryczne, później reżyser waha się i rezygnuje z prawa do skreśleń, wreszcie aktor uderza w wielki ton trybuna dobrej czy złej sprawy. Tymczasem wystarczy zajrzeć do starożytnych mistrzów retoryki, by znaleźć opisy, jak najwięksi retorowie dążyli do efektu nie przez „naciskanie pedału", ale przez uciekanie się do gry, do aktorstwa (mówca stając przed sądem udawał np. nieśmiałego, kiedyindziej tłumił głos, żeby wydać się szczególnie przejętym itp.). Tym bardziej aktor nie powinien rezygnować ze swej sztuki. Idee w teatrze muszą dostać krew i ciało żywego człowieka, ażeby miały siłę wciągnięcia widza w swój dramat! Jagmin, którego życie wypełniło czynne obcowanie z ideą, nie powinien mieć nic z deklamatorstwa, w które wyposażył go bardzo dobry w rolach patetycznych **Buszyński.** Frędzej Okulicz, jeśli jest rzeczywiście uczciwy we własnym przekonaniu, mógłby się szarpać retorycznie pomiędzy źle zrozumianymi frazesami z arsenału patriotycznego romantyzmu, i to byłaby typologia prawdziwsza artystycznie i społecznie. Typowe stupajki reakcyjne siedzą raczej za granicą, rzadki zaś typ Okulicza powinien raczej mieć w sobie coś z hrabiego Henryka z „Nieboskiej", jeśli chodzi o interpretację sceniczną. To małe „raczej" decyduje o realizmie.

Do roli spekulanta Lemańskiego miał **Godik** liczne i łatwe wzorki; skorzystał z nich znakomicie. Nasycona aktorsko postać pani Lemańskiej **(Maria Dulęba)** zyskałaby na czujnej korekcie reżysera. **Wołejko** miał rolę niezmiernie trudną — stworzył typ wykolejonego młodzieńca przekonywający, w końcówce dopiero uległ powszechnej tendencji do patosu. Uległa jej i **Zofia Małynicz** (Sabina), zwłaszcza w wielkiej scenie z mężem; jedynie sposób, w jaki mówi do dawnego kochanka o cenie szczęścia, daje próbkę jej pięknego talentu.

Mieszkanie Okuliczów nie miało ani tego zaduchu, o którym mówiliśmy, ani nie wskazywało niczym, że jest rodzajem składu mebli dla spekulantów (zegary, wazy, dywany etc.) — było żadne i nawet nie „obżyte": ani Matylda, ani Sabina nie miały z nim żadnego kontaktu. Nic z atmosfery kameralności, tak niezbędnej dla tej sztuki.

Zastępca

Notatnik muzyczny

XXXIV Koncert Symfoniczny

Iwanow, Gilels

W przejeździe z gościnnej, pięknej Pragi wstąpili do nas — po drodze do domu — artyści radzieccy Konstanty Iwanow i Emil Gilels. Pamiętamy wszyscy ognistego Iwanowa, dla którego muzyka jest już nie tylko psychicznym i emocjonalnym przeżyciem, lecz wprost biologiczną siłą, tak bardzo przeżywa on gest melodii, plastykę rytmu i wyraz harmonii czy modulacji.

Wszystko to znajduje swe zastosowanie w Czajkowskim, którego muzyka jest także pełna gestu, emocji i wyrazu oraz napięcia w każdym temacie, od najbardziej genialnych po czysto retoryczne, choć zawsze szczere. Tak szczere, że aż czasami naiwne, gdy sięgniemy dziś do drugorzędnych dzieł tego mistrza.

Koncert fortepianowy b-moll — ten najczęściej grywany po świecie koncert Czajkowskiego — zawiera wszystkie najbardziej typowe cechy autora piątej i szóstej symfonii. Dla pianisty jest on terenem, prawdziwym boiskiem, na którym wirtuoz wykazać może wszystkie zasoby swego patetycznego gestu i liryzmu. Od pierwszych taktów Gilelsa mogliśmy się przekonać, że jego wielka reputacja nie jest reklamową przesadą. Recital, na który niecierpliwie czekamy, pozwoli nam się bliżej zapoznać ze sztuką tego rasowego przedstawiciela współczesnej pianistyki.

„Kaprys włoski" tegoż Czajkowskiego mógłby wystarczyć do oceny, jakim to dyrygentem jest Iwanow. Wszystkie żywiołowe cechy jego sposobu prowadzenia orkiestry ogniskują się w czasie wykonania tego dzieła. Warto to słyszeć i widzieć, choć na ogół, teoretycznie, nie jestem zbytnio zwolennikiem patrzenia na koncercie. Uważam, że sztuka przeznaczona dla słuchu powinna się ograniczać do słuchu. Ale teoria swoje, a życie swoje. Niewątpliwie oczy mają też pewną rolę do odegrania na koncercie. Oczy współdziałają także, kto nie wierzy, niech wspomni płytę i głośnik radiowy. Oczy pomagają do tego wszystkiego, co się składa na atmosferę koncertu. Gest Iwanowa, jako że zawsze coś muzycznego wyraża, wart jest zobaczenia. Nie wiem, jak dyrygował Beethoven. Sądzę jednak, że musiało w nim być coś z Iwanowa. A może na odwrót, chronologicznie!

Coś z Beethovena a coś z Iwa tworzy sylwetkę tego ogarniętego świętym szałem muzycznym człowieka.

Suita baletowa „Gajane" Arama Chaczaturiana napisana została na początku wojny i przyniosła temu kompozytorowi premię Stalina pierwszego stopnia. Premiera baletu odbyła się w mieście Mołotow, w grudniu 1942 roku, w wykonaniu artystów opery leningradzkiej i baletu imienia S. Kirowa. Treścią libretta, którego autorem jest Konstanty Dzierżawin, jest — jak powiada objaśnienie w programie — współzależność szczęścia osobistego i narodowego. W wykonaniu koncertowym nie sposób doszukać się tych programowych założeń. Żywe i powolne części zestawione są ze smakiem i znawstwem, w drugiej części znajdujemy akcenty znane nam już z koncertu fortepianowego, z których wieje „Armenią jak z książki". Tradycja Borodinów i Rimskich-Korsakowych znajduje w Chaczaturianie dobrego, tradycyjnego następcę.

Żałujemy, że znakomici artyści radzieccy nie pokazali nam więcej dzieł nowych, lub takich, których się nie zna poza granicami Związku Radzieckiego. Koncert Czajkowskiego znamy już mniej więcej jak nasze dwa: f i e-moll Chopina, czy jak „Piątą" Beethovena. Sądzę, że dla zacieśnienia więzów i wzajemnego kulturalnego poznania, najważniejsze jest zaznajomić publiczność z tym, czego sąsiedzi jeszcze nie znają. Że artyści radzieccy wykonują wspaniale swego z krwi i kości Czajkowskiego, to wiemy. Lecz Czajkowskiego wykonują wszędzie, i u nas, i na całym świecie. Dlatego ciekawsze jeszcze było by, gdyby zapoznawali nas oni z twórczością, która do nas jeszcze nie dotarła, a która, nowa, zawsze tak bogato dopływa do wielkiej szkoły muzycznej naszego wschodniego sąsiada.

Tak jak rewelacją były we Francji koncerty, z którymi przyjechał do Paryża Rimski-Korsakow, tak dziś, obok wielkich klasycznych już mistrzów, Borodina, Mussorgskiego, Rimskiego i Czajkowskiego — tej olimpijskiej kwadrygi — chcielibyśmy zapoznawać się z tym, co powstaje nowego i twórczego w Związku Radzieckim. Bo przecież wiadomo, że sztuka zawsze idzie naprzód i że prawdziwie wielcy twórcy współcześni stają się po kilkunastu już latach klasykami. Dlatego pragnęlibyśmy już dziś lepiej zaznajomić się z tymi przyszłymi klasykami radzieckimi, by się nie cofać, lecz razem tworzyć życie muzyczne i jego nowe wartości, bez których olimpijska kwadryga musiałaby zaryć kopytami w ziemię i wyrzucić na bruk, choćby geniusza, który próbuje jej dosiąść.

Zygmunt Mycielski

W NASTĘPNYM NUMERZE
»ODRODZENIA«
UKAŻE SIĘ PRZEKŁAD REFERATU
A. A. ŻDANOWA
O ZAGADNIENIACH
MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ

Ludowy zespół pieśni i tańca imienia Piatnickiego

Udało mi się docisnąć do sali „Romy", której nie widziałem dotąd tak przepełnionej. Widoczne było, że ta specyficzna forma łącznego podania muzyki i tańca spełnia rolę, o której tyle się dzisiaj mówi i jest czymś, co rzeczywiście upowszechnia sztukę, cając i oczom i uszom pełnię artystycznego przeżycia. W Związku Radzieckim znalazło to zrozumienie i wyzyskano tam wrodzone zdolności, nie przerywając świetnych, dawnych tradycji baletu i tańca, rozszerzając ich zasięg na skalę ogólnonarodową.

W wypadku zespołu imienia Piatnickiego uderza szczególnie genialne wprost rozwiązanie trudnego zagadnienia utrwalenia autentycznego folkloru. Ludowa muzyka i taniec podane są w formie pierwotnej, utrwalonej i zanotowanej, a wykonanej tylko w zespołowym rozwinięciu scenicznym. Toteż te „numery", w których odczuwamy bezpośredni, stary autentyk rosyjski, są najbardziej wzruszające i — powiem nawet — wstrząsające swą dla nas nowością i oryginalnością brzmienia. Tam, gdzie wykonywane są opracowania lub utwory, oparte na motywach ludowych, poznajemy już pewien wysiłek, by zachować czystość oryginału. To już — rzecz jasna — nie zawsze się udaje, oryginał jest zawsze czystszy i ciekawszy. Stosuje się to zarówno do chóru, jak i do orkiestry, której masowy zespół odbiega, bardziej niż chór, od autentycznej kapeli wiejskiej. Zresztą chór, orkiestra i tańce tego zespołu mogłyby być tematem rozprawy o folklorze i jego artystycznej wartości. Uderza przede wszystkim wielkie, prawdziwe poczucie „zespołowości", co obserwowałem na wszystkich występach radzieckich. Artyści po odśpiewaniu czy odtańczeniu swej partii solowej powracają do całej grupy i wtapiają się w jej masę. Cechę tę uważam za jedną z najistotniejszych oznak stylu, którym wszystko jest przepojone, a który zwiastuje coś bardzo nowego i powszechnego w sztuce.

Zresztą, o ten styl będziemy się na każdym kroku obijać. Ćwiczy on nas niby rózgą we wszystkim co tak zdyscyplinowane, we wszystkim co powtarzane i autentycznie zachowane, „zafiksowane".

Śpiewaczki nie mają głosów postawionych w naszym tego słowa znaczeniu. Są to kobiety wiejskie, które „krzyczą", tak jak na weselach czy w polu, lecz intonują zawsze z niezawodną czystością, atakują śmiało, akcentują z punktu bezbłędnie. Dzięki temu koloryt głosów jest jedyny i niezapomniany.

Pierwsze pieśni z chórem („Step" „Hej, chodziła dzieweczka", „Taniec z ziemi woroneżskiej") były najwspanialszym, zapewne bardzo starym przykładem ludowego, wielkorosyjskiego geniuszu. Przypominały nieco starą muzykę francuską z X, XI i XII wieku, owe wspaniałe a niedocenione i mało znane organum, discantus i diafonię. Krótkie, żywe motywy, powtarzające się monotonnie — śpiewane a capella pod taniec i równoległe pochody interwałów — świadczą o wspólnym jakimś praźródle wszystkiego co — od ziemi kalinińskiej, kurskiej, riazańskiej, smoleńskiej, poprzez Podhale i Mazowsze — łączy nas z dawną sztuką Zachodu. Lecz na Wschodzie pewna hieratyczność i czystość stylu zachowała się po dziś dzień w formie, która przywodzi nam na myśl sztukę bizantyjską i to, co w Azji łączy w jeden nurt sztukę ludową i artystyczną, a czego prawzorem był Homer, ten ojciec rasy pogranicznej, Zachodu i Wschodu.

Zespół im. Piatnickiego pokazuje nam — w swych numerach autentycznych — że u źródeł jeden jest nurt sztuki. Na takim przykładzie możemy snuć wątek, który prowadzi daleko, aż po rozważania o wszystkim, co przeciwstawia lub łączy dążenia artystyczne w Związku Radzieckim z tym, co dzisiaj produkuje Zachód europejski.

Posiadając tak opracowany i wykonany folklor jak ten, który nam zespoły radzieckie podają, rozumiemy, że nie ma tam istotnej różnicy pomiędzy „sztuką ludową" a „sztuką artystyczną". Dlatego, kiedy się mówi o upowszechnieniu, i wydaje enuncjacje o formalizmie czy nawrocie do sztuki klasycznej, rzeczy te inaczej brzmią w ZSRR, a inaczej u nas, gdzie folklor nie jest tak bogaty ani tak utrwalony i podany, a związki odbiorcy ze sztuką innymi szły dotychczas drogami. Dlatego demagogiczne wojowanie czy mechaniczne powtarzanie niektórych haseł — jak to czyni kilku krytyków u nas — w imię muzycznych tendencji w ZSRR, jest tylko dowodem płytkiego i bezmyślnego powtarzania lekcji, której głębokiego sensu się nie przetrawiło samemu. Bełkot ten ma niby to służyć odrodzeniu polskiej sztuki współczesnej a w rzeczywistości, zdaje się dążyć do zabicia jej aspiracji twórczych. Na podstawie rozwoju sztuki w tym kraju, który się wspiera artystycznymi tradycjami o pogranicze Chin, Bizancjum i Słowiańszczyznę, można by wykazać rzeczy, choćby na wieczorze takim jak w „Romie", od których zbielałoby oko naszym domorosłym krytykierom tego, co w Polsce jest naprawdę twórcze.

W związku Radzieckim rzecz się ma całkiem inaczej: tam sztuka rodzima sięga do źródeł starych, bogatych i po dziś dzień żywych. Dlatego to muzyczne tendencje dążą tam do pogłębienia tych związków i są nieraz sprzeczne z tym, co się w krajach Zachodu dzieje w sztuce. To, co przeżywa dziś muzyka radziecka, przypomina raczej dawną walkę Francuzów z operą włoską czy nawrót impresjonistów do tradycji klawecynistów — przeciwstawionej wpływom niemieckim spod znaku Wagnera — niż zasadniczą jakąś bezmyślną walkę z „modernizmem". Czerpiąc z bogatych złóż folkloru, który nie przestał tam być wielką sztuką, artyści radzieccy mają przed sobą inne niż na Zachodzie zadania. Myśmy się znaleźli w czasach i w miejscu, w którym wpływy te ścierają się, przenikają i łączą. Sprawa taka nie jest kwestią miesięcy czy kilku lat i ma znaczenie na o wiele dłuższą metę.

Zespół radziecki wykazuje nam to w każdej dziedzinie: taniec, operujący zarówno elementem ruchu, jak i pewnego „bezruchu" oraz drobnym zróżnicowaniem gestu; stroje, w których barwa przypomina bardziej mozaikę niż balet klasyczny a ciało porusza się raczej po to, by grały fałdy szat niż anatomia. Wreszcie orkiestra, w której bałabajki, drumle, harmonijki, gęśle, fujarki, różne drewniane trąbki i dziwne, nieznane fleciki czy perkusja wydają tony inne niż nasze instrumenty z orkiestry symfonicznej.

Zespół liczy ponad 200 osób, z czego 160 przybyło na tournée po Polsce. Kierownikiem artystycznym jest W. G. Zacharow, artysta ludowy ZSRR, laureat premii stalinowskiej oraz artysta ludowy RSFRR, P. M. Kazmin. Kierownikiem rosyjskiej orkiestry ludowej jest W. W. Chwatow, autor opracowań wielu utworów z drugiej części programu, w której wykonano także utwory Zacharowa, również oparte na motywach ludowych, z zachowaniem oryginalnej formy, operującej przeważnie kolejnym przeciwstawieniem solo i chóru z orkiestrą. Kierownikiem grupy tanecznej jest T. A. Ustinowa.

Zespół powstał 37 lat temu. Owocem tej długiej pracy jest doskonałość wykonania. Moglibyśmy stworzyć podobne zespoły, ratując zachowane na Podhalu, Kurpiach czy nawet w Poznańskiem czy Rzeszowskiem oryginalne kapele ludowe, kompletując chóry i grupując odpowiednio tancerzy. Wymaga to przede wszystkim uratowania tego, co jeszcze istnieje, a następnie ilościowego rozbudowania i „uscenicznienia". Wymaga personelu kierowniczego o bezbłędnym smaku, by nie zrobić z tego co autentyczne pokazów, będących parodią sztuki ludowej.

Chodzi więc o to, by znaleźć ludzi, którzy przez kontakt sztuki „miejskiej" z ludową, muzyki ludowej nie zachwaszczą. W Związku Radzieckim — jak to na żywym przykładzie widzimy — rzeczy te robione są ze znawstwem, intuicją i talentem, który istotnie może służyć za wzór.

Jeżeli znajdziemy personel, cierpliwość i środki, będziemy mogli stworzyć coś, co utrwali nasz muzyczno - taneczny folklor tak, jak to czyni zespół imienia Piatnickiego.

Zygmunt Mycielski

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko .....

Adres .....

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa. Daszyńskiego 14. Klub Literacki „Odrodzenia".

Korespondencja

POKRZEPIENIE SERC?

Do redaktora „Odrodzenia"

Zamiast odpowiedzi na artykuł Don Kichota „Sienkiewicz — autor książek szkodliwych" w nr. 17 (93) „Tygodnika".

Poruszona przez Ksawerego Pruszyńskiego w nr. 10 „Odrodzenia" sprawa „znaczkowników" dotyka zagadnienia dla kultury czytelniczej istotnie doniosłego, które należy rozpatrywać przede wszystkim od strony merytorycznej, nie tylko w zestawieniu z wystąpieniem Ministerstwa Poczt i Telegrafów. Wystąpienie to jest bardzo symptomatyczne i interesujące, aczkolwiek niezupełnie szczęśliwie pomyślane. Stanowisko ministerstwa jest kwestią odrębną i bynajmniej nie najważniejszą, natomiast istota samej sprawy ma znaczenie niepowszednie.

Ksawery Pruszyński słusznie podkreśla stanowisko Sienkiewicza pośród innych autorów i stwierdza, że jest on najpoczytniejszym pisarzem. Ale nie zdaje sobie dość jasno sprawy, jak ta poczytność wygląda i wymowa pewnych, nawet fragmentarycznych cyfr i tytułów rzuci na ten stan faktyczny nieco inne światło. Pruszyński twierdzi, że poczytność Sienkiewicza jest wychowawczo i społecznie zjawiskiem dodatnim i pożądanym, gdyż dotyczy pozycji wychowawczo wartościowych, tymczasem stan faktyczny wskazuje, że pozycje wymienione przez Pruszyńskiego nie są najpopularniejsze.

Mianowicie na podstawie badań, przeprowadzonych na jesieni 1945 roku przez Biuro Badania Czytelnictwa „Czytelnika" w największych ośrodkach miejskich w Polsce wśród młodzieży szkół średnich ogólnokształcących — otrzymano cyfry, które mówią wiele i które są niewątpliwie charakterystyczne dla zjawiska, jakim jest bez kwestii poczytność Sienkiewicza, nie tylko w skali krajowej, ale nawet światowej. Cyfry te dotyczą wprawdzie tylko młodzieży, ale funkcja wychowawcza literatury, obserwowana i planowana w stosunku do młodzieży, daje się bez trudu i nieścisłości przenieść w wielu wypadkach i na dorosłych. Ponadto kształtowanie się czytelnictwa młodzieży decyduje o obliczu czytelnictwa dorosłych, a wrażliwość młodzieży wymaga szczególniejszej uwagi i opieki.

Oto cyfry najbardziej charakterystyczne: ponad 80 proc. młodzieży (zbadano około 6.000 osób) podało Sienkiewicza jako ulubionego autora, gdy następny z kolei — Prus otrzymał zaledwie 42,9 proc. głosów. Poczytność Sienkiewicza, słabnąca pod koniec szkoły, utrzymuje się jednak nawet w liceum na stosunkowo bardzo wysokim poziomie (ponad 60 proc.), występuje z jednakowym natężeniem w różnych środowiskach, najsilniej jednak w środowisku młodzieży, której rodzice mają tylko wykształcenie na poziomie szkoły podstawowej. Poczytność kolejnych książek Sienkiewicza jest następująca: Trylogia — 58,2 proc., „Krzyżacy" — 25,7 proc., „Quo vadis" — 24,9 proc., „W pustyni i puszczy" — 20,5 proc., pozostałe książki z „Rodziną Połanieckich" i nowelami na czele — 1.07 proc. i 4 proc. Z tego wynika, że poczytność Trylogii jest zupełnie niewspółmierna z poczytnością pozostałych książek, a wysuwane (i słusznie zresztą) przez Pruszyńskiego na czoło utworów Sienkiewicza nowele — są w porównaniu z Trylogią i nawet pozostałymi pozycjami bardzo mało popularne. Nawet poczytność „Krzyżaków", mimo aktualności zagadnienia, blednie w obliczu stosunku czytelników do Trylogii.

Ale sama wymowa cyfr nie jest wystarczająca. Argumentacja młodzieży, przemawiająca z wielu wypracowań szkolnych, znajdujących się w zbiorach Biura Badania Czytelnictwa, ma wymowę stokroć jeszcze silniejszą i bardzo charakterystyczną. Stosunek do Sienkiewicza jest bliski, bezpośredni i żywy, o książkach jego wypowiadają się ze swobodą i naturalnością, której nie odnajdujemy w wypowiedziach o innych autorach. Ze słów młodzieży przebija w tym wypadku łatwość w operowaniu kategoriami zaczerpniętymi z Sienkiewicza, stopień przyswojenia treści jest więc bardzo wysoki, ponadto spotykamy się również z argumentami natury literackiej, formalnej. Wszystko to dowodzi niezwykłej „czytelności" Sienkiewicza i sugestywnej siły jego słowa, skoro nawet młodzież uświadamia to sobie i potrafi o tym pisać w sposób osobisty i wyraźny. Nikt z autorów nie może się tym w takim stopniu poszczycić.

To jednak nie wyczerpuje wartości, które młodzież odnajduje w Sienkiewiczu. Sienkiewicz zaspokaja najsilniejsze instynkty i tęsknoty młodzieży, daje jej pokrzepienie wewnętrzne, zadowolenie dumy narodowej, graniczącej chwilami z megalomanią, uczy ją łatwo i przyjemnie historii, ożywia patriotyzm, pozwala na przebywanie duchowe w środowisku całkowicie odrębnym od rzeczywistości życia współczesnego, zaspokaja instynkt wojowniczości, daje radość ze śledzenia zwycięstw i tryumfów orężnych, dostarcza wielkiego zasobu humoru i wesołości. To stwierdza młodzież i tego jest świadoma.

Teraz należy postawić sobie pytanie, o ile funkcja, którą spełnia w stosunku do młodych czytelników Sienkiewicz, jest funkcją wychowawczo i społecznie dodatnią, a o ile dotyczy tych sfer psychiki polskiej, które należało by przekształcać, a nie pielęgnować i rozwijać. Należy jednak zastrzec od razu, że zagadnienie to rozważane będzie przede wszystkim w stosunku do Trylogii, jako do najpoczytniejszej książki Sienkiewicza, której popularność przesłania inne jego dzieła i wyznacza wyobrażenie o Sienkiewiczu, panujące u młodzieży.

Sienkiewiczowska „czytelność" — to nie tylko rzadko spotykana sugestywność jego słowa i plastyka jego opisu — ale również odpowiedniość jego koncepcji i światopoglądu z tymi cechami usposobienia polskiego, które — aczkolwiek dość powszechne — są jednak raczej ujemne, a przy tym bardzo podatne na wpływ i rozbudzanie, szczególnie u młodzieży. Chodzi tu o dumę narodową, która bardzo często przeradza się za lada podmuchem w megalomanię i zabija zmysł rzeczywistości oraz jakiekolwiek ambicje w kierunku pracy nad sobą. Duma ze zwycięstw orężnych, z przewagi Polski jest znakomitą dla tych dyspozycji pożywką, a „orężność" tych zwycięstw — prowadzi do jednostronnej oceny polskich możliwości ekspansji — najłatwiejszej może, bo niecodziennej, ale mało twórczej i budującej. Tę jednostronność pogłębia jeszcze zbyt ostra odmienność świata przedstawionego w Trylogii od świata obecnego, gdzie możliwość analogii i powiązań jest raczej niemożliwa.

Pruszyński słusznie wysuwa zagadnienie optymizmu u Sienkiewicza, ale optymizm ten jest niepełny i powierzchowny, gdyż dotyczy tylko niektórych stron życia; jest postawą, która realizuje się nie wszędzie i nie zawsze. Tak jak optymizm Sienkiewicza jest powierzchowny, tak jego uczuciowość jest raczej czułostkowa i sentymentalna niż prosta i gorąca. Sienkiewicz operuje tu pewnymi szablonami, są to wzorce chłodne i powszechne, a nie głęboki żywioł uczucia Żeromskiego, lub namiętność czy mądra, wyrozumiała dobroć i uśmiech Prusa. Sienkiewicz w uczuciach swoich jest zdawkowy i konwencjonalny, pozwala towarzyszyć przeżyciom, ale bardzo rzadko wzrusza naprawdę i doprowadza do jakiegoś wewnętrznego przełomu. Jako wychowawca jest więc raczej szkodliwy i w tym zakresie. Jest niewątpliwie szkodliwy i tam, gdzie daje czytelnikowi obrazy okrucieństwa. Wkomponowane w całość książki, która czytelnika porywa bez reszty swą akcją i plastycznością — stają się w ten sposób jeszcze bardziej plastyczne i ostre.

Wychowawcza szkodliwość Sienkiewicza jest tym dobitniejsza, że obraz, który on przedstawia, przemawia bezpośrednio do odbiorcy, odnajdującego w sobie wiele cech, których Sienkiewicz nie potępia, raczej je gloryfikuje. Czytelnik w zaczarowanym kręgu stworzonej fikcji — nie może się zdobyć na dostateczny krytycyzm i eliminację elementów ujemnych. Ale nie tylko to potęguje szkodliwy wpływ Sienkiewicza. Szkodliwość ta nabiera rozmiarów prawie niebezpiecznych, gdyż poparta jest niezwykłymi walorami literackimi, które same w sobie stanowią wartość nieprzemijającą, a jako ogniwa pośredniczące w przekazywaniu treści — nadają im szczególnie sugestywną barwę.

Gdyby słowu Sienkiewicza, trafnemu, prostemu i plastycznemu, którego szyk i brzmienie są jedyne w swoim rodzaju — można było odjąć jego treść (nie wdzięk) urzekającą, gdyby akcja Trylogii mogła się stać tylko przygodą, a nie historią, która uczy (nie ostrzega) i umoralnia — wtedy zniknęłaby szkodliwość jego książek, a pozostałyby arcydzieła literackie, jakim mało jest na świecie równych. Sienkiewicz poza Polską jest czym innym. Sienkiewicz u nas nie może już w tej chwili bez poważnych zastrzeżeń wychowywać, bo potrzeby nasze są teraz odmienne i są bardzo palące. Czarfikcji literackiej, którą Sienkiewicz stwarza, jest tak silny i dochodzimy do tak wielkiego „zadomowienia" wśród jego postaci i do tak ogromnego zaciekawienia — że nie podobna nieraz znaleźć wyjścia z tego labiryntu, a czytelnik bardziej podatny, niewyrobiony i wrażliwy musi się w tym zagubić i da się przekonać o wszystkim. Fonadto Sienkiewicz umie wzruszać, choć nie zawsze tam, gdzie powinien (skoro w dziedzinie erotycznej jest czułostkowy i szablonowy). Momenty dumy, poczucia siły, podziwu dla bohaterstwa są porywające — i wzruszające. Któż więc oprze się wymowie tego, nawet jeśli gloryfikuje on nie zawsze samo czyste bohaterstwo, lub nie tylko istotne i realne cnoty? A siła humoru i śmiech, który musi towarzyszyć czytaniu — czyż nie stanowią ogniw wiążących czytelnika z książką, których rozerwać nie podobna, bo są zdrowe i niefrasobliwe?

Gdyby czytelnictwo książek Sienkiewicza ograniczało się do „Krzyżaków" i niektórych nowel, które cieszą się minimalną popularnością, wtedy problem walorów wychowawczych jego twórczości miałby zupełnie inny wygląd. Jednak popularność Sienkiewicza jest jednoznaczna z popularnością Trylogii.

Pozostaje kwestia najtrudniejsza i niemal nierozwiązalna — jak przeciwdziałać szkodliwemu wpływowi Sienkiewicza. Krytyka jego twórczości z punktu widzenia walorów społecznych i ideologicznych ciągnie się od dziesiątków lat; brali w niej udział najwybitniejsi pisarze, wychowawcy, badacze literatury — tym niemniej stan faktyczny nie uległ właściwie zmianie. Jestem zdecydowanie przeciwna jakimś wystąpieniom prohibicyjnym, gdyż mogą wywołać w takiej sytuacji skutek wręcz przeciwny od oczekiwanego. Istnieją tylko dwa sposoby przeciwdziałania, obydwa na długą metę obliczone, jeden z nich zaś bardzo trudny do zrealizowania, o ile w ogóle zrealizowany być może. Pierwszy — polega na kształceniu czytelniczym i charakterologicznym w tym sensie, by pozwoliło to na - krytyczny i obiektywny stosunek do twórczości Sienkiewicza i uratowało jego książki, jako arcydzieła literackie, unieszkodliwiając ich sens wychowawczy. Drugi — zależny od wypadku i szczęścia — oprzeć się może na pisarzu, który dorówna świetności pisarskiej Sienkiewicza, a jednocześnie będzie umiał sprostać wymaganiom wychowawczym, które stawia przed nim współczesność. Może Ksawery Pruszyński?...

Aniela Mikucka

Materiały badawcze, dotyczące Sienkiewicza, znaleźć można w 7 — 8 i 11 numerze „Twórczości" r. 1947 i w nr. I — II „Polonisty" r. 1947.

JORGE AMADO W POLSCE

W ubiegłym tygodniu bawił w Warszawie, jako gość biura Komitetu Światowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu, znakomity pisarz brazylijski, Jorge Amado.

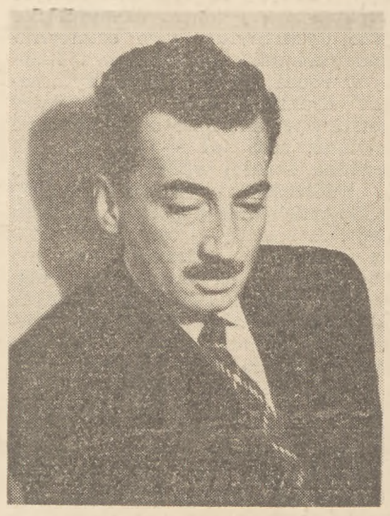

Jorge Amado

Jorge Amado jest Brazylijczykiem. Urodził się w r. 1912 w prowincji Bahia, koło miasteczka Ilheus. W trzynastym roku życia uciekł ze szkoły. Włóczy się po prowincji a w 2 lata później pracuje już w dziennikarstwie. Niezadługo dostał się do Rio. W dziewiętnastym roku opublikował pierwszą swoją powieść „Kraina karnawału". Następna powieść „Kakao" spopularyzowała jego nazwisko w Brazylii. Książka ta, pełna krytyki i sarkazmu pokazała, jak wygląda życie na wsi w tym kraju. Niezadługo wydał powieść p.t. „Suor".

Pracując, jako dziennikarz, uczył się bardzo intensywnie. Zdobył tytuł doktora praw. W 1935 roku napisał powieść pt. „Jubiaba". Francuski tytuł tej powieści brzmi: „Bahia wszystkich świętych" („Bahia de tous les Saints"). Tematem tej powieści jest życie Murzynów z Bahii. Utwór ten uważa krytyka zza Oceanu i francuska za duże wydarzenie literackie. W rok później pisze J. Amado powieść pt. „Mar Morto" (Martwe morze). Za utwór ten uzyskał nagrodę im. Aranho. (Nagroda ta odpowiada francuskiej „Prix Goncourt").

Jorge Amado jest realistą ze szkoły romantycznej. Powieści wywarły duży wpływ na pisarzy brazylijskich. J. Amado był ponadto bardzo czynny w brazylijskim ruchu ludowym (Front populaire bresilien). W roku 1936 został aresztowany. Książki jego zasekwestrowano a nawet palono. We wszystkich krajach, używających języka portugalskiego, zabroniono rozpowszechniania książek J. Amady wskutek interwencji władz brazylijskich.

Zwolniony z więzienia od 1938—1941 napisał on książkę o znanym poecie brazylijskim Castro Alves. Poeta ten, republikanin, walczył o zniesienie niewolnictwa. Dyktatura Vargasa uniemożliwiła Amadzie egzystencję w kraju rodzinnym. Musiał wyjechać do Argentyny. Napisał tu biografię Luisa Carlosa Prestesa: „Rycerz Nadziei". W Argentynie Amado nie przestaje walczyć z faszyzmem Vargasa.

W roku 1943 Brazylia łączy się w akcji przeciw państwom osi. Emigranci mogą powrócić, gdyż ściąga ich mobilizacja. Jorge Amado wraca do swojej Bahii. W tym czasie powstaje jego arcydzieło „Ziemia zgwałcona" (Terre violentée"). Utwór ten jest powrotem Amado na rodzinne plantacje kakao. Jest to już trzecia z kolei jego powieść, osnuta na życiu w plantacjach.

Wybory w roku 1945 dały Jorge Amado mandat do parlamentu z prowincji Sao Paulo. Działalność poselska Jorge Amado nie przeszkadza mu w twórczości literackiej. W tym czasie wystawia on sztukę, której treść wziął ze swojej znakomitej powieści pt. „Ziemia zgwałcona".

Powieści Jorge Amado tłumaczono na języki francuski, angielski, rosyjski, niemiecki, duński, szwedzki, hebrajski itp. Laureat nagrody Nobla, poeta francuski Fryderyk Mistral, zaznajomiwszy się z twórczością Amado napisał:

„Jest to największy powieściopisarz współczesny nie tylko Brazylii, lecz całej Ameryki Łacińskiej. Poza tym jest to człowiek wierny swemu ludowi".

W OBRONIE PABLA NERUDY

Amfiteatr Richelieu — intelektualiści francuscy składają hołd wielkiemu poecie, Pablo Nerudzie, prześladowanemu we własnym kraju. Na zdjęciu przemawia Louis Aragon; siedzą: Louis Barrault i Paul Eluard

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA"?

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1.000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Wolf Jerzy, Warszawa 32, ul. Łąkowska 8, za wycinek z „Dziś i Jutro".

CZYTAJMY GOŁUBIEWA!
ZBYTEK REALIZMU

Mam skompletować bibliotekę parafialną. Chciałbym dokupić coś z nowych rzeczy. Jestem bardzo ostrożny w wyborze, bo książki dziś drogie i nie wolno mi zmarnować żadnego grosza. A zresztą — biblioteka, jaką kompletuję, powinna zawierać tylko książki dobre. Chodzi mi o dobroć tak moralną, jak i literacką. Nie znam z lektury wszystkiego, ale od czegoż są recenzje w pismach katolickich? Wertuję zeszyty bardzo poważnego tygodnika i wypisuję to, co by — wnioskując z recenzji — dla moich czytelników się nadawało. Jest, Antoni Gołubiew: Bolesław Chrobry (część I. Puszcza. Część II Szło nowe). Trochę to za drogie na naszą kieszeń, ale będzie rzecz poważna i nowego pisarza. Znam Gołubiewa z artykułów — bardzo dobry pisarz tak pod względem formy, jak i treści.

Zamówiłem i — wpadłem. Na stronie 24 części pierwszej czytam:

„Mieszka przygarnął łapczywie Dobrawę, przywalił ją swym ciężarem, rozdygotany i żądny, namiętne zwierzę puszczy. Gałęzie szumiały pod wiatrem, lędźwia były pełne chuci i spazmów".

Na stronie 143 tej samej części:

„kiedy ostali sami, (Bolko) krzyknął ostro:

— Rozdziewaj się.

Nawalił się chutnie. Co noc. Po dziesięciu miesiącach Węgierka porodziła mu syna".

Nie, książki tej nie dam do biblioteki parafialnej, zbyt wielki realizm w przedstawianiu jurności i pierwotności naszych przodków. Całe ich słownictwo to według naszych pojęć — ohyda; ich uczucia i pożądania — to zwierzęca chuć i najpierwotniejsze instynkty. W przedstawieniu początków chrześcijaństwa naszej ziemi. Cała poezja jest po stronie tępionego bałwochwalstwa.

Może to i tak wszystko było — nie czynię zarzutu autorowi ze stanowiska historycznego, ni literackiego nawet — ale mam żal do niego za zbytni, a często niepotrzebny (np. w scenach miłosnych) realizm, bo wydałem około tysiąca złotych, a książki nie mogę dać do biblioteki parafialnej.

Jeszcze większy mam żal do Pana Recenzenta i Księdza Redaktora, że nie zwrócili mi na tę cechę utworu uwagi w piśmie katolickim.

Ks. Franciszek Błotnicki

Przepraszamy za niedyskretne pytanie, ale co to wszystko łącznie ma wspólnego z zagadnieniem realizmu?

RACHUJ KOLEGO!

W „Dzienniku Łódzkim" czytamy:

Kpt. Klemens Długaszewski przeleciał dnia dzisiejszego 2 miliony klm. i przebywał ogółem w powietrzu 1.250 godzin (ok. 17 miesięcy).

1250 godzin to zaledwie 50 dób, za mało, by przesiedzieć w powietrzu. 17 miesięcy w ciągu jednego dnia...

PRZESADA

W „Magazynie Tygodniowym" dzieli się wrażeniami rekordzistka w skoku ze spadochronem:

Jednakże za linkę pociągnęłam dopiero w sześćdziesiątej pierwszej minucie spadania.

Mowa, oczywiście, o spadaniu wprost z księżyca do redakcji „Magazynu".

WYMOWA TAŃCA

„Echo Krakowa" donosi:

Taniec Salome w wykonaniu włoskiej tancerki Sylwii, stał się wydarzeniem obecnego sezonu. Jak wiadomo, Salome, — córka Herodiady, żony Heroda, króla Judei, tańczyła tak pięknie, że wiadca obiecał spełnić każde jej życzenie. Za namową matki zażądała ona głowy Jana Chrzciciela, na co Herod się w końcu zgodził. Sylwia w swym tańcu odtwarza mistrzowsko pasję namiętności i intrygi panujące wówczas na dworze Heroda.

Więcej! W tańcu swym odtwarza Sylwia pasję grafomaństwa, panującą w redakcji „Echa Krakowa".

POMYSŁOWY PIŁKARZ

Z „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego" dowiadujemy się, że:

Prowadzenie dla gospodarzy zdobył na 6 minut przed końcem Majcher z rzutu głową.

Zdezorientowany bramkarz chwycił głowę, podczas gdy prawdziwa piłka wtoczyła się do bramki.

JĘZYK!

Z artykułu „Sprawiedliwy wyrok", (Trybuna Robotnicza, nr 130) wyjmujemy kilka kwiatków językowych:

Drzewiecki, Stattlerówna i Ciągwa, jak również szereg innych osób doprowadzonych na rozprawę z więzienia jako świadkowie, dysponując z ramienia Państwa rozdziałem opału pozbawiali go świadomie szpitale, szkoły, uniwersytety, urzędy państwowe. W ten sposób bez koniecznego opału okazały się: Starostwo w Brzegu, Starostwo w Krotoszynie.

i nieco dalej...

Trzeba raz nareszcie w naszych urzędach, wśród kierowników i pracowników skończyć z tym nie obywatelskim, niedopuszczalnym w nowej Polsce stosunkiem do przestępstw i nadużyć popełnianych na ich oczach, który polega na pełnej obojętności, o ile sprawy te bezpośrednio ich nie dotyczą.

i wreszcie...

Proces Drzewieckiego jest jeszcze jednym świadectwem tego, że Państwo nasze z całą bezwzględnością karze i karać będzie za wszelkie nadużycia, że nie pozwoli ono rozkradać dobra narodowego i będzie wypalać, odcinać zewsze i wszędzie zgniłe ogniwa, zdemoralizowane jednostki, bez względu na ich stanowisko, które zakradły się do aparatu państwowego.

Zamiast komentarza zacytujemy pod adresem „Trybuny Robotniczej" fragment z tegoż artykułu:

Tak, jak na urzędnika zatrudnionego w dobrze pracującym urzędzie spada część dobrej sławy jego instytucji — tak na urzędnika pracującego tam, gdzie istnieją złodziejstwa i panoszy się szkodnik, spaść musi część odpowiedzialności i złej sławy.

W „Trybunie Robotniczej" panoszy się szkodnik...

PROŚBA

„Dziennik Zachodni" donosi z Wystawy Instytutu Śląskiego w Cieplicach:

Wśród eksponatów dostrzec można manuskrypty chińskie, japońskie, sanskryptem pisaną księgę Manu.

Prosimy manuskrybów, by nie pisali manuskryptów sanskryptem...

LITERATURA

W nr. 19-tym „Nowin Literackich" czytamy:

Byłem w Gdańsku, widziałem nowe różowe mury wielu odbudowanych Jomów na d-odze do Sopotu, zwiedzałem stocznie i oglądałem budujące się i remontowane polskie statki, widziałem piękne nowe kutry rybackie dla połowów dalekomorskich, które pachniały jeszcze świeżą farbą i rybami, które dzięki nim będziemy jeść w „Europejskiej" czy w „Caneletto". Rozmawiałem z robotnikami. Opowiadali mi oni bardzo po prostu o swojej pracy, o normach pracy, jaką wspólnie z dyrekcją ustanawiają.

i

Tu, jak i w Gdańsku, rożowiły się mury odbudowanych magazynów portowych, czerwieniły się szkarłatnie krany do załadunku i wyładunku statków.

i jeszcze...

A przecież w roku 94[illegible] wszystko tu stało pod wodą, pod wielkim jeziorem, które utworzyły uciekające wówczas wojska niemieckie.

Uciekała dywizja SiuSiuMannów... Niechże się poza tym zdecyduje autor, czy nowe kutry pachną farbą, czy rybami i czy krany czerwienią się szkarłatnie, czy szkarłatnią czerwono...

REDAGUJE ZESPÓŁ Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40-180—90 wewn. 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10 — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik" Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-535 7 Wydawca Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"